



Thomas Brussig

Aleja Słoneczna



Thomas Brussig

Aleja Słoneczna

Przetoczyła
Alicja Rosenau

wydawnictwo  czarne

Wołowiec 2002



THOMAS BRUSSIG urodził się w 1965 w Berlinie Wschodnim, gdzie mieszka do dziś. Należy do najwybitniejszych pisarzy swojej generacji. Jest autorem powieści, dramatów oraz publicystą. W swoich utworach często powraca do przełomowego wydarzenia niemieckiej historii ostatnich lat – upadku NRD i przyłączenia jej do Republiki Federalnej Niemiec, ukazując z perspektywy jednostki związane z tym wydarzeniem problemy. Już w debiutanckiej, wydanej w 1991 roku autobiograficznej powieści *Akwarele (Wasserfarben)* pojawia się problem indywidualnych wyborów w totalitaryzmie. Także powieść *Bohaterowie jak my (Helden wie wir)*, która ukazała się w 1995 roku, w niezwykle inteligentny sposób rozprawia się z totalitarnym dziedzictwem NRD. Jej bohater, klasyczny prostack, równie sprytny co tchórzliwy, opowiada o swojej drodze życiowej w NRD, od przedszkola i obozów pionierskich, przez służbę w aparacie Stasi, do listopadowego przewrotu w 1989 roku, kiedy to mimowolnie staje się sprawcą obalenia muru berlińskiego. Jest to mistrzowska groteska, której gorzka wymowa złagodzona jest dużą dozą komizmu. Połączenie tematyki rozrachunkowej z żywiołowym humorem okazało się sukcesem. Książka stała się przebojem wydawniczym: miała wiele wznowień, została przetłumaczona na kilkanaście języków, a także sfilmowana oraz przeniesiona na scenę.

Powieść *Aleja Słoneczna (Am kürzeren Ende der Sonnenallee)*, pełny tytuł: *Przy krótszym końcu Alei Słonecznej*) powstała w 1999 roku, równoległe z osnutym na tych samych motywach scenariuszem do komedii *Sonnenallee*. Film w reżyserii Leandera Hausmanna cieszył się w Niemczech ogromną popularnością: zebrał ponad 2,5 miliona widzów, co stawia go wśród największych sukcesów kasowych kinematografii niemieckiej. Również powieść urzekła czytelników na całym świecie: doczekała się przekładów na większość języków europejskich oraz chiński i japoński.

W tej pełnej nostalgii i ciepłego humoru opowieści o dorastaniu grupki przyjaciół, mieszkających tuż przy murze dzielącym Berlin, nie ma miejsca na rozprawę z historią czy bolesną groteskę. Brussig stara się ocalić jasne strony niedawnej przeszłości. Okazuje się, że nad zgrzebną i szarą codziennością schyłkowej NRD także świeciło słońce, absurdy realnego socjalizmu próbowano traktować z dystansem i humorem, a młodzi ludzie mieli takie same problemy jak wszędzie, przeżywali pierwsze miłości czy fascynacje muzyką rockową – byli po prostu młodzi.

Zimne cygaro Churchilla

W życiu bywają niezliczone sytuacje, kiedy trzeba podać swój adres, i Michael Kuppisch, który mieszkał w Berlinie przy Alei Słonecznej, często mógł się przekonać, że nazwa jego ulicy wywoływała uczucia pokojowe lub zgoła sentymentalne. Z jego doświadczeń wynikało, że nazwa „Aleja Słoneczna” najlepiej działała w sytuacjach niepewnych czy wręcz napiętych. Nawet wrogo nastawieni Saksończycy prawie zawsze stawali się przyjaźniejsi, gdy dowiadywali się, że mają do czynienia z berlińczykiem mieszkającym przy Alei Słonecznej.

Michael Kuppisch wyobrażał sobie, że nazwa ta zadziałała nawet na Konferencji Poczdamskiej w lecie 1945 roku, kiedy to Józef Stalin, Harry S. Truman i Winston Churchill dzielili byłą stolicę Rzeszy na sektory. Przede wszystkim na Stalina; dyktatorzy i despoty, jak wiadomo, są szczególnie podatni na poetyckie nastroje. Stalin nie chciał zostawić Amerykanom ulicy o tak pięknej nazwie, a przynajmniej nie całą. I przedstawił Harry'emu Trumanowi swoje żądania co do Alei Słonecznej — które to żądania ten oczywiście odrzucił. Ale Stalin nie popuszczał i zanosilo się na to, że dojdzie do rękoczynów. I kiedy Stalin z Trumanem już prawie stykali się nosami, wcisnął się między nich brytyjski premier, rozdzielił ich i sam stanął przed planem Berlina. Od razu zauważył, że Aleja Słoneczna ma ponad cztery kilometry długości. Churchill był trady-

cyjnie po stronie Amerykanów i nikt z obecnych nie dopuszczał możliwości, że mógłby przyznać Aleję Słoneczną Rosjanom. Na tyle to go wszyscy znali, i wiedzieli, że zaciągnie się cygarem, pomyśli chwilę, wypuści dym, potrząśnie głową i przejdzie do następnego punktu rokowań. Ale kiedy Churchill pociągnął cygaro, ku jego niezadowoleniu okazało się, że znowu zgasło. Stalin był tak usłużny, że od razu pośpieszył z ogniem, a Churchill, rozkoszując się dymem, pochylił się nad planem Berlina i pomyślał, jak mógłby w należyły sposób odwzajemnić gest Stalina. I gdy wydmuchnął dym, przyznał Stalinowi kawałek ulicy długości 60 metrów, i zmienił temat.

Tak to musiało się odbyć, myślał Michael Kuppisch. Jak inaczej można było odciąć taki mały kawałek ulicy tuż przed jej końcem? A czasami myślał też: gdyby ten głupi Churchill lepiej pilnował swojego cygara, żylibyśmy teraz na Zachodzie.

Michael Kuppisch zawsze szukał wyjaśnień, ponieważ nader często konfrontowany był z sytuacjami, które wydawały mu się nienormalne. Na przykład nie mógł się nigdy nadziwić, że mieszka przy ulicy, której numeracja zaczyna się od 379. Tak samo nie mógł się przyzwyczaić do *codziennych upokorzeń* w postaci szyderczych śmiechów z platformy widokowej po zachodniej stronie, witających go zawsze, gdy wychodził z domu — całe wycieczki szkolne krzyczały, gwizdały i wołały: „Patrzcie, patrzcie, prawdziwy dederon!” albo „No, dederonku, zrób ładnie pa pa, pstrykniemy ci fotkę!”. Ale wszystkie te absurdy były niczym w stosunku do absolutnie niewiarygodnego faktu, że pierwszy w życiu list miłosny, jaki otrzymał, został porwany przez wiatr i zanieiony na pas śmierci, gdzie spoczął na zawsze — zanim Michael zdążył go przeczytać.

Michael Kuppisch, przez wszystkich zwany Micha (oprócz jego matki, która kiedyś, z dnia na dzień, zaczęła zwracać się do niego Misza), miał nie tylko swoją teorię na temat krótszego końca Alei Słonecznej, ale i teorię, dlaczego akurat jego lata były najbardziej interesującym okresem w dziejach, także w przyszłych dziejach, Alei Słonecznej. Otóż jedynymi domami przy krótszym końcu Alei Słonecznej były legendarne budynki typu Q3a ze swoimi malutkimi, ciasnymi mieszkaniami. A jedynymi ludźmi, którzy byli gotowi w nich zamieszkać, byli nowożeńcy pragnący wreszcie żyć razem pod jednym dachem. Ale nowożeńcom rodziły się wkrótce dzieci, i w ciasnych mieszkaniach stawało się jeszcze ciasniej. O większych mieszkaniach nie było nawet co myśleć; władze liczyły pokoje i stwierdzały, że „potrzeby rodziny są zabezpieczone”. Na szczęście prawie we wszystkich domach była taka sama sytuacja, i kiedy Micha nie mógł już wytrzymać w ciasnym mieszkaniu i zaczął przenosić swoje życie na ulicę, spotkał wielu innych, którym wiodło się podobnie. A ponieważ prawie wszędzie przy końcówce Alei Słonecznej działo się to samo, Micha czuł się jak część pewnego potencjału. Kiedy jego przyjaciele mówili: „Jesteśmy paczką”, Micha mówił: „Jesteśmy potencjałem”. Sam nie wiedział dokładnie, co ma na myśli, ale czuł, że musi mieć jakieś znaczenie, kiedy wszyscy pochodzą z podobnej ciasnoty Q3a, spotykają się co dzień, noszą takie same ciuchy, słuchają tej samej muzyki, mają takie same tęsknoty i z każdym dniem czują się silniejsi — żeby wszystko pozmieniać, kiedy wreszcie dorosną. Micha potrafił nawet czerpać nadzieję z faktu, że wszyscy kochali się w tej samej dziewczynie.

Spotykali się zwykle na opuszczonym placu zabaw – dziećmi, które miały się tam bawić, byli oni sami, a po nich nie było już następnych dzieci. A ponieważ żaden piętnastolatek nie może przyznać się przed światem, że idzie na plac zabaw, mówili o tych spotkaniach „kręcić się po placu”, co brzmiało jakoś bardziej zadziornie. Słuchali tam muzyki, najchętniej tej, która była zakazana. Najczęściej Micha przynosił nowe piosenki – jak tylko nagrał je z programu SFBeat Rozgłośni Wolny Berlin, od razu puszczał je na placu. Ale te piosenki były jeszcze zbyt nowe, żeby już miały być zakazane. Kiedy tylko pojawiała się pogłoska, że jakaś piosenka została zakazana, od razu zyskiwała na popularności. *Hiroshima* była zakazana, tak samo *Je t'aime* albo Rolling Stonesi, którzy w ogóle byli zakazani, od początku do końca. Ale najbardziej zakazana była piosenka *Moscow, Moscow* zespołu Wonderland. Nikt nie wiedział, kto wydaje te zakazy, a co dopiero – z jakiego powodu.

Przy słuchaniu *Moscow, Moscow* wprawiali się zawsze w stan jakiejś autystycznej ekstazy bluesowej, która polegała na tym, żeby z zamkniętymi oczami kołysać się na boki, przygryzając zębami dolną wargę. Chodziło o to, żeby zgłębić autentyczny bluesowy feeling i pokazać, jak daleko już się w tym doszło. Poza muzyką i ruchami ciała nie istniało dla nich wtedy nic, i dlatego kie-

dys chłopcy z placu zauważyli o wiele za późno, że nagle stanął koło nich posterunkowy. A stało się to dokładnie w momencie, kiedy przyjaciel Michy, Mario, z przejęciem wykrzyknął: „Kurcze, chłopaki, to jest zakazane! Całkiem zakazane!”, na co posterunkowy wyłączył magnetofon i z triumfem w głosie zapytał:

– Co takiego jest zakazane?

Mario zaczął udawać niewiniątka.

– Zakazane? O co chodzi? Czy ktoś tu powiedział „zakazane”? – Szybko jednak zauważył, że daleko na tym nie zajędzie.

– A, pan władza ma na myśli *zakazane* – powiedział Micha z ulgą. – To przecież język młodzieżowy.

– Słowa *zakazany* używa się w języku młodzieżowym, kiedy niepełnoletni użytkownik języka chce dać wyraz swojemu zachwytowi – odezwał się Okularnik, który przeczytał już tak dużo, że nie tylko zepsuł sobie oczy, ale był też w stanie bez najmniejszego wysiłku formułować wręcz arogancko długie wypowiedzi. – Czyli *zakazany* jest słowem wyrażającym akceptację.

– Tak samo jak *klawo* albo *byczo* – dodał Kudłaty, nazywany tak, ponieważ wyglądał jak Jimi Hendrix.

– Bardzo popularne w języku młodzieżowym są także słowa *bombowry* albo *fajowry* – powiedział Okularnik.

– Które oznaczają z kolei to samo, co *szalowry*, *w dechę*, *bezbłądny*, albo właśnie: *zakazany* – wyjaśnił Gruby. Wszyscy gorliwie przytaknęli i czekali, co posterunkowy na to.

– Chłopaki, chyba chcecie mnie zrobić w konia – powiedział. – Sądzę raczej, że rozmawialiście o tym, że surowo zakazane jest nie oddać znalezionego paszportu, który zgubiła obywatelka RFN.

– Nie – odparł Micha. – To znaczy tak. Oczywiście wiemy, że zatrzymywanie znalezionego paszportu jest

zakazane, ale nie o tym rozmawialiśmy, obywatelu kapralu.

— Starszy sierżancie! — pouczył go surowo posterunkowy. — Nie jestem kapralem, ale starszym sierżantem. To są stopnie podoficerskie. Najpierw jest się kapralem, potem plutonowym, potem sierżantem, a potem starszym sierżantem. Ale w przyszłym tygodniu zostanę chorążym. To jest stopień oficerski.

— To bardzo ciekawe. Serdecznie panu gratuluję! — powiedział Micha, któremu ulżyło na myśl, że posterunkowy już zapomniał, po co był na placu. Zamiast drażyć sprawę *zakazanego* recytował kolejność stopni wojskowych.

— Po chorążym idzie podporucznik, potem porucznik, czyli lejtnant, kapitan, major, pułkownik — tyle jest stopniów oficerskich.

Micha sztúrchnął w bok Okularnika, który akurat w momencie, gdy posterunkowemu poprawił się humor, nabierał powietrza, żeby poprawić odmianę liczby mnogiej.

— Przechodzimy do stopniów generalskich: generał-major, generał-pułkownik, generał-lejtnant i generał armii — czy nic nie zauważyliście?

— Pełno jest tych stopniów wojskowych — powiedział Kudłaty, który tak samo jak inni nieszczerólnie interesował się wojskiem. — Wygląda na to, że ten pański jest gdzieś na samym dole.

— Ma pan jeszcze przed sobą wszystko, co najlepsze na służbie — podjął myśl Kudłatego Gruby, formułując ją trochę przyjaźniej.

— Ej, chłopaki! Jakbyście lepiej uważali, tobyście sami zauważyli, że wśród oficerów lejtnant jest daleko *pod* majorem, ale potem, u generałów, generał-lejtnant stoi nad generał-majorem.

– Jak to jest możliwe? – zapytał Mario z niedowierzaniem.

– Ostatni będą pierwszymi – odezwał się Okularnik. – Tak jest napisane w... – Nie dokończył, bo Micha znowu dał mu sówkę w bok.

– W przyszłym tygodniu zostanę chorąży, wtedy dopiero tu będzie porządek – powiedział posterunkowy zdecydowanie. – Jeśli któryś z was znajdzie ten paszport obywatelki RFN, należy go zwrócić do mnie. Zrozumiano?

– A jak ona się nazywa, ta obywatelka? – zapytał Okularnik, który znowu chciał wszystko dokładnie wiedzieć.

– Powinniście oczywiście oddać mi każdy paszport, jaki znajdziecie, ale ten, co został zgubiony, należy do niejakej Heleny Rumpel. Jak się nazywa ta obywatelka RFN?

– Helena Rumpel – odpowiedział Mario. Mario miał najdłuższe włosy, i dlatego uchodził za najbardziej krnąbrnego. I kiedy odpowiadał grzecznie na pytania posterunkowego, tamten mógł mieć poczucie, że panuje nad sytuacją na placu.

– No właśnie, Rumpel, Helena – powtórzył posterunkowy, a chłopcy przytaknęli. Posterunkowy chciał już odejść, ale po trzech krokach coś sobie przypomniał i zawrócił.

– A co to była za piosenka przedtem? – zapytał czujnie, znalazł na magnetofonie klawisz „play” i *Moscow, Moscow* zabrzmiało na nowo. Serce Michy zaczęło kołatać ze strachu. Najbardziej zakazana z zakazanych piosenka! Posterunkowy posłuchał chwilę i skinął w końcu z miną znawcy.

– Czyj to materiał dźwiękowy? – zapytał. – No? Czyja jest ta kasetka?

– Właściwie to moja – odpowiedział Micha.

– Aha! No to wezmę ją sobie. Sam też bardzo chętnie puszczam czasem muzykę, w gronie kolegów.

Micha zamknął oczy ze zgrozy, kiedy sobie *to* wyobraził. Usłyszał tylko jeszcze, jak posterunkowy, odalając się, zawołał do nich wesoło:

– No co, chłopaki, nie spodziewalibyście się po'mnie takiego hobby, nie?

Tydzień później posterunkowy nie został awansowany ze starszego sierżanta na chorążego, ale zdegradowany do stopnia sierżanta. I zaczął wtedy szykanować Michę, legitymując go na każdym kroku. Gdy tylko widział Michę, od razu się zaczynało: „Dzień dobry, sierżant Horkfeld, kontrola dokumentów. Dowód proszę”.

Na początku Micha traktował bardzo poważnie słowa *kontrola dokumentów* – spodziewał się, że słuchacze piosenki *Moscow, Moscow* prędzej czy później muszą znaleźć się na listach osób ściganych przez prawo. Potem jednak domyślił się, że posterunkowy rzeczywiście puścił *Moscow, Moscow* w gronie kolegów, może nawet na Wielkim Balu Policji z okazji przyznania awansów. A że *Moscow, Moscow* była tak niesłychanie zakazana, na balu musiało dojść do ogromnego skandalu. Micha mógł sobie wyobrazić tę scenę: szef policji osobiście pobiegł naprzód, żeby zasypać kolumny uderzeniami gumowej pałki, a minister spraw wewnętrznych wyciągnął swój służbowy pistolet i w samym środku piosenki rozstrzelał magnetofon. A później obaj do spółki zerwali posterunkowemu z ramion jego nowiuteńkie pagony chorążego. Sądząc po tym, z jaką zawziętością posterunkowy kontrolował jego dokumenty, Micha zaczął nabierać przekonania, że wszystko musiało wyglądać właśnie tak, o ile nie jeszcze gorzej.

Gdyby posterunkowy nie wziął sobie kasety z piosenką *Moscow, Moscow*, pierwszy list miłosny Michy nie poruwałby na pas śmierci. To jest skomplikowana sprawa, i dlatego trudno ją tu wytłumaczyć, ale ma ona w pewnym sensie związek z piosenką *Moscow, Moscow*. Micha nie był nawet pewien, czy ten list w ogóle był do niego, nie wiedział też, czy był od tej dziewczyny, za której list oddałby wszystkie skarby świata.

Dziewczyna miała na imię Miriam, chodziła do równoległej klasy i była niewątpliwie najładniejsza w całej szkole. (Dla Michy była oczywiście najpiękniejsza na *świecie*). Była prawdziwą sensacją Alei Słonecznej. Gdy wychodziła na ulicę, życie nabierało zupełnie innego rytmu. Robotnicy drogowi odkładali swoje młoty pneumatyczne, zachodnie samochody jadące od przejścia granicznego zatrzymywały się, żeby Miriam mogła przejść przez ulicę, na wieży strażniczej w pasie śmierci żołnierze wrywali sobie lornetki, a śmiech zachodnich klas maturalnych na platformie widokowej ustępował pełnym szacunku szeptom.

Miriam od niedawna była w szkole, do której chodzili Micha, Mario i cała reszta. Nikt nie miał dokładnych wiadomości na jej temat. Dla wszystkich była obcą, piękną i zagadkową dziewczyną. Ścisłe biorąc, Miriam była nieślubnym dzieckiem, ale i tego nikt nie wiedział. Była dzieckiem nieślubnym, ponieważ jej ojciec, jadąc samochodem, skręcił za wcześnie. Jechał właśnie do urzędu stanu cywilnego, gdzie był umówiony z matką Miriam, która była w ósmym miesiącu ciąży. Ślub miał się odbyć w Berlinie, a ojciec Miriam nie znał za dobrze tego miasta. Po drodze z Dessau źle skręcił przy Adlergestell, dalej pojechał Baumschulenstrasse i nagle jego trabant zatrzymał się przed przejściem granicznym przy Alei Słonecznej. Nie miał pojęcia, że znajduje się na

przejściu granicznym, więc zaczął kłać i awanturować się, wysiadł z samochodu i zdenerwowany biegał w kółko. „Ale ja muszę tędy przejechać!”, powtarzał. Często się zdarzało, że na takie przejścia graniczne trafiały zaślakane samochody i najczęściej były bez problemów odsyłane z powrotem, ale choleryczny ojciec Miriam zrobił taką awanturę, że pogranicznicy zajęli się nim dokładniej. Był tak długo przesłuchiwany, że nie dojechał na czas do USC, a zanim nadszedł nowy termin ślubu, Miriam zdążyła już przyjść na świat. I w ten sposób została dzieckiem nieślubnym.

Kiedy urodził się jej młodszy brat, Miriam nie miała już wątpliwości, że rodzice się rozwiodą. Ojciec nie był całkiem normalny – kiedy czasami się przed nim zamykały, wywalał drzwi kopniakami albo urządzał na ulicy takie krzyki, że Miriam i jej matka musiały się okropnie wstydzić przed sąsiadami. I gdy wreszcie rodzice Miriam się rozwiedli, jej matka chciała się uwolnić od prześladowającego ją wariata, ojca Miriam – i przeprowadziła się na końcówkę Alei Słonecznej. Przypuszczała, całkiem słusznie zresztą, że ojciec Miriam będzie starannie omijał tę okolicę.

Stosunek Miriam do chłopaków i mężczyzn był całkowicie nieprzejrzysty. Okularnik mówił, że Miriam zachowuje się po prostu jak każde normalnie obciążone dziecko z rozbitego małżeństwa – zamknięta w sobie, nie ma żadnego celu i jest pesymistyczna. Często widywano ją, jak wsiadała na motor, który podjeżdżał pod dom akurat, gdy wychodziła z bramy. To był motor marki AWO, naprawdę można było nim szpanować. AWO jako jedyny motocykl w całym bloku wschodnim miał silnik czterosurowy, a w dodatku był prawdziwym rarytasem, bo przestali go produkować na początku lat sześćdziesiątych. Dla chłopaków z placu fakt, że Mi-

riam wsiadała na motocykl AWO, potwierdzał tylko jej przynależność do innego świata. Ani Micha, ani Mario, ani Gruby czy Okularnik nie mieli motocykla lub choćby motoroweru; tylko Kudłaty miał składaka. A nawet gdyby któryś z nich miał motorower czy motocykl, to i tak byłby to na pewno jakiś straszliwie terkoczący dwusuw. Nawet jawa 350, która przynajmniej miała dwa cylindry, nie mogła się równać z niskim, spokojnym warkotem AWO. Odgłos wydawany przez AWO musiał mieć w sobie coś nieodparcie pociągającego.

Kiedy Miriam słyszała pomruk motocykla, wybiegała z domu, witała kierowcę szybkim pocałunkiem – i zniknęła. Chłopakom z placu nigdy nie udało się zobaczyć kierowcy AWO, zawsze miał na twarzy gogle.

– Może to wcale nie jest jej chłopak – powiedział kiedyś Micha. – Może to tylko... – Nie przyszedł mu do głowy nikt, kto mógłby codziennie przyjeżdżać po najpiękniejszą dziewczynę, witać się z nią całusem, a przy tym nie być jej chłopakiem.

– Może to tylko jej wujek – powiedział Mario szczerzo. Mario też był zakochany w Miriam, ale, w przeciwieństwie do Michy, nie wpadał w romantyczne uniesienia. – Chcesz z nią *chodzić* czy tylko ją uwielbiać? – zapytał kiedyś Michę, a ten odpowiedział zgodnie z prawdą:

– Na początek chciałbym ją tylko uwielbiać.

– Aha, na początek. A co potem, jak ten początek się skończy? – pytał dalej Mario.

– Wtedy... Wtedy chcę dla niej umrzeć – odparł Micha. I pomyślał posępnie, że chyba nigdy do niczego z dziewczynami nie dojdzie, jeśli tylko będzie je uwielbiał, a później szlachetnie dla nich umierał.

Długie tygodnie i miesiące nie mógł się przełamać, żeby się do niej odezwać. A kiedy nadarzała się okazja,

kiedy na przykład stała przed nim w kolejce do stołówki szkolnej, wtedy uciekał.

Ale przynajmniej przez młodszego brata Miriam próbował zdobyć jak najwięcej informacji o niej. Każdy zakochany w Miriam – czyli wszyscy chłopcy z wyższych klas – próbował wypytywać o nią jej młodszego brata. Brat miał dopiero dziesięć lat, ale wiedział już dokładnie, ile jego informacje były warte. Kazał sobie nawet za nie płacić – resorakami. Kiedy ktoś chciał coś od niego usłyszeć na temat Miriam, pytał od razu: „A masz matchboxa?”. Szybko się to rozniosło i wkrótce uczniowie starszych klas stali się ekspertami w dziedzinie miniaturowych aut. Czasami tylko ich krewni z Zachodu dziwili się, że piętnasto- czy szesnastoletni chłopcy życzą sobie na gwiazdkę Lamborghini Countacha albo Road Dragstera. Bo brat Miriam nie brał bynajmniej każdego samochodu. Gdy raz Okularnik próbował mu wcisnąć nudnego, zielonego jak żaba Kennel Trucka, odmówił udzielenia informacji. Musiał to być co najmniej Maserati albo Monteverdi Hai, powinien też mieć resory bez zarzutu.

Młodszy brat Miriam był w ogóle uprzywilejowany pod wieloma względami: nikt nie odważyłby się nic mu zrobić. Kiedy rówieśnicy chcieli go stłuc, mógł się zdać na pomoc starszych; a ci też nic by mu nie zrobili, choćby był nie wiadomo jak bezczelny. Brat Miriam był tak samo nietykalny jak ona sama.

Jednak raz, w naprawdę przymusowej sytuacji, Micha próbował zwrócić na siebie uwagę Miriam.

„Przymusowa sytuacja” polegała na tym, że został skazany na wygłoszenie referatu. Jego przyjaciel Mario w haśle wiszącym w holu szkoły: PARTIA I KLASA ROBOTNICZA RÓWNYM KROKIEM W PRZYSZŁOŚĆ!,

którego ogromnych liter nie dawało się nie zauważyć, zamienił w odpowiednim miejscu litery KI na CZ. No i ktoś naskarżył na niego; jakaś skarżypyta zawsze się znajdzie. Niestety, Mario był już wcześniej na liście do odstrzału. Ostatnim razem usłyszał: „Jeszcze jedna taka sprawka i zabierzemy się za ciebie”, a wtedy został tylko przyłapany na paleniu. I teraz mieli się za niego zabrać, cokolwiek by to miało oznaczać. Mario chciał zrobić maturę albo przynajmniej znaleźć jakąś praktykę jako mechanik samochodowy, a tu nagle otwierała się przed nim kariera betoniarza, tokarza albo fachowca od wtryskarek. Jednak Micha jako przyjaciel Maria wziął na siebie tę zamianę liter. Może też przyczynił się do tego fakt, że na niemieckim brali właśnie balladę Schillera *Rękojmia*. Jest natomiast pewne, że Micha chciał mieć opinię człowieka zdolnego do śmiałych czynów. A zamiana odpowiednich liter w czerwonym hasle takim śmiałym czynem była. Niestety, ani Mario, ani Micha nie wiedzieli, że to hasło przypisywano Leninowi. Pętla, którą chciano założyć na szyję winowajcy, została przygotowana w następujący sposób: kto obraża Lenina, obraża partię. Kto obraża partię, obraża NRD. Kto obraża NRD, jest wrogiem pokoju. Zaś wrogów pokoju należy zwalczać – a wyglądało na to, że Micha obraził Lenina. Dlatego dyrektorka, którą pokarało nazwiskiem Erdmute Löffeling, skazała go na wygłoszenie referatu.

Referaty były prawdziwą karą, choć właściwie miały być zaszczytem. Nikt nie chciał wygłaszać referatu, wszyscy się jakoś wykręcali. Ważny był przy tym odpowiedni ton, że naprawdę bardzo by się chciało, ale niestety, niestety, niekorzystne okoliczności stoją na przeszkodzie. „Mam tremę przed taką ilością ludzi”. „Na pewno są lepsi”. „Nie przychodzi mi do głowy nic godnego zaprezentowania”. „Nie jestem dobrym mówcą”.

„Nie mam czasu się przygotować, moja mama jest chora”. „Ja już miałam ten zaszczyt w zeszłym roku”. „Na pewno dostanę chrypki”. Micha jednak nie mógł się wykręcić żadną wymówką. Zgrzeszył, więc musiał okazać skruchę. Jego referat miał nosić tytuł: „Czego uczą nas dzisiaj cytaty z klasyków marksizmu-leninizmu”. Miriam jeszcze nigdy nie miała do czynienia z Michą, obawiał się więc, że stanie się dla niej „tym od czerwonego przemówienia”, jeśli akurat podczas tego referatu po raz pierwszy zwróci na niego uwagę. Musiał przedtem zaistnieć jakoś w świecie Miriam. Na tym polegała właśnie przymusowość jego sytuacji.

Miał na to dwa tygodnie, a w tym czasie akurat wypadła szkolna dyskoteka. Dyskoteka odbywała się zawsze w pierwszych tygodniach roku szkolnego, kiedy jeszcze nikt nie nałapał tylu złych ocen, żeby nie móc się beztrudno bawić. Ale i tak nigdy nie było odpowiedniego nastroju, dyskoteka kończyła się już o dziewiątej, i tylko przez ostatnie pół godziny na sali było ciemno, tak jak w prawdziwej dyskotece. Mimo to jednak Micha uznał, że to jedyna dobra okazja, żeby zwrócić na siebie uwagę Miriam.

Dyskoteka była oczywiście okazją najgorszą. Przyszli wszyscy chłopcy ze starszych klas i wszyscy mieli te same zamiary. Tylko jedna osoba nie przyszła, Miriam. Pojawiła się dopiero wtedy, kiedy Micha, Mario, Kudłaty, Okularnik i Gruby z nudów pozdrapywali nawet etykiety z butelek coli. Usiadła obok swojej przyjaciółki i obie zaczęły tak trajkotać, jakby nie widziały się z dzieśnięć lat. Jej koleżanka była po cichu nazywana „Szrapnel”, bo kiedyś jakiś złośliwiec powiedział, że jej twarz musiała zostać zniszczona wybuchem szrapnela. Micha wiedział, że nie ma co liczyć, żeby znalazł się ktoś, kto podejdzie do nich razem z nim i poprosi Szrapnela do

tańca. Nawet Mario nie chciał się poświęcić; na długo zanim Miriam przyszła i usiadła obok Szrapnela, powiedział do Michy: „Wiem, że mam u ciebie dług, ale nie spodziewaj się, że będę *tamtą* obtańcowywał”.

Micha nie miał więc innego wyjścia, jak tylko wziąć się w garść i zrobić to, co mężczyzna zrobić powinien. W przerwie przed następną piosenką wstał i przeszedł nieskończenie długą drogę przez całą salę. Gdy tylko rozległa się pierwsza nuta, zapytał Miriam: „Zatańczymy?”. Bardzo się starał, żeby zabrzmiało to w sposób niewymuszony. Ale nagle zmroziło go, bo już wiedział, że się żałośnie skompromitował — piosenka, która się właśnie zaczęła, to był jakiś wschodni szlagier najgorszego gatunku. Okropny, najokropniejszy czeski akcent. Parkiet opustoszał błyskawicznie. Miriam i Szrapnel przerwały na chwilę trajkotanie, zerknęły ukradkiem na Michę i parsknęły śmiechem. Cała szkoła była świadkiem tej kompromitacji. Micha stał uparcie dalej, ale Miriam i Szrapnel znowu zaczęły paplać, jakby go wcale nie było. Znowu musiał więc przejść przez salę, a cała szkoła gapiała się na niego. Kudłaty powiedział: „To jest dzielny człowiek”. I w ten sposób wyraził to, co myśleli wszyscy. Micha jako pierwszy odważył się poprosić Miriam do tańca.

Siedział potem otępiały na swoim krześle, gdy nagle coś się zaczęło dziać — jakiś gwar rozszedł się po sali. Mario szturchnął Michę, żeby go wytrącić z letargu. Okularnik zdjął okulary i zaczął je nerwowo czyścić, a Grubemu opadła szczęka. „To przecież niemożliwe”. Miriam tańczyła, i to nie ze Szrapnelem. Tańczyła z kimś innym, a tego kogoś nikt nie znał. Wszedł po prostu na dyskotekę razem z kilkoma kolegami i poprosił Miriam do tańca. Jego koledzy podeszli do innych dziewczyn, samych najlepszych. A w dodatku mieli teraz wolny ka-

walek. *Długi* wolny kawałek. Najdłuższy wolny kawałek z możliwych. Kto raz miał szczęście tańczyć do tej piosenki, nigdy tego nie zapomni, i odtąd będzie dzielił ludzkość na dwie kategorie: tych, co to przeżyli, i tych, którzy tego nie przeżyli. Ci pierwsi to wybrani, obdarzeni łaską, reszta zaś to biedne i pokrzywdzone przez los istoty, pozbawione doświadczenia tego kosmicznego momentu.

Ale Miriam nie tylko tańczyła z tym nieznajomym, po chwili zaczęła się z nim też obściskiwać, i to całkiem śmiało. Widział to Micha, widziała to cała paczka, wszyscy to widzieli. Aż tu nagle zapaliło się światło i w drzwiach sali stanęła Erdmute Löffeling. Obściskiwacz nosił koszulkę Gimnazjum im. Johna F. Kennedy'ego: Miriam zadawała się z typem z Berlina Zachodniego. Erdmute Löffeling zrobiła okropną scenę. Chłopak z Zachodu został od razu wyrzucony, a Miriam skazana na wygłoszenie referatu, co sprawiło, że Micha stał się bohaterem wieczoru.

Przez parę następnych dni chłopcy z dziewiątych i dziesiątych klas podejmowali różne gorączkowe działania, które miały tylko jeden cel: każdy chciał za karę zostać wyznaczony do referatu. Ale działania te i tak z góry były skazane na niepowodzenie; dwa kozły ofiarne już wyczerpały limit. Bo na zebraniach zawsze było paru zawodowych działaczy młodzieżowych z okręgowego zarządu FDJ i mogliby oni uznać szkołę za jakieś siedlisko łobuzerii, gdyby ciągle tylko była mowa o wykroczeniach i wygłaszano gadki w stylu I-przyrzekam-poprawę. Mimo to nadchodzące dni pełne były wypadków, które w normalnych warunkach ukarano by przymusowym referatem. Kudłaty zapytany na fizyce o reguły postępowania w przypadku wybuchu bomby atomowej powiedział: „Po pierwsze: dobrze się przyjrzeć,

coś takiego widzi się tylko raz. Po drugie: położyć się i poczołgać na najbliższy cmentarz, ale – po trzecie: powoli, żeby nie dopuścić do powstania paniki”. Dostał pałę, ale nie został ukarany referatem. Na wuefie Mario rzucił granatem tylko cztery metry. Jego intencje były czysto pacyfistyczne, ale musiał za karę zrobić pięćdziesiąt pompek, z czego dziesięć z przyklaskiem, żeby nabrał wigoru. Ale i on nie został skazany na wygłoszenie referatu. Gruby dał się przyłapać na majstrowaniu przy stojaku z flagami. Zdejmowanie flag to był już prawie akt terroryzmu, ale Grubemu kazali tylko za karę nieść wielką flagę zwaną „sztandarem” na pochodzie z okazji siódmego października*, co się okazało naprawdę dotkliwą karą, bo siódmego października lało jak z cebra. Wszyscy przychodzili pokazać się tylko na chwilę i zaraz się ulatniali, ale Gruby nie mógł tak po prostu ulotnić się ze sztandarem. A sztandar, który już normalnie był ciężki, na deszczu zrobił się jeszcze cięższy. Był tak ciężki, że nie mógł już łopotać, więc trzeba było go nieść pod kątem. I niosący sztandar miał poważny problem, żeby to położenie utrzymać. Dla Grubego to był naprawdę wielki wyczyn: nieść przed sobą ten mokrućki sztandar tak, żeby było widoczne godło.

Więc Micha został jedyną osobą, która musiała za karę wygłosić referat. Poza Miriam oczywiście.

Spotkanie tych dwojga odbyło się w ciemnościach, za sceną auli. Miriam jak zwykle się spóźniła, zebranie trwało już dobrą chwilę. Skarżypyta wygłaszała jakiś okropnie długi raport statystyczny, w którym aż się roilo od procentów. Większość liczb przekraczała mniej lub bardziej setkę, były też jednak wartości nieco mniejsze niż sto procent. Skarżypyta była w stanie wszystko

* Rocznica powstania NRD.

ująć w procenty: oceny z rosyjskiego, zobowiązania wstępne na 3, 10 albo 25 lat służby wojskowej, składki solidarnościowe, członkostwo w FDJ, Towarzystwie Przyjaźni Niemiecko-Radzieckiej, kółkach sportowo-gimnastycznych, w Organizacji Techniki i Sportu, wycieczki szkolne, czyny społeczne, Targi Mistrzów Jutra, frekwencję w bibliotece... Kiedy zaczęła procentowo przedstawiać picie mleka na dużej przerwie („Siedemnaście przecinek cztery procent uczniów klas dziewiątych pije mleko pełne o zawartości tłuszczu dwa przecinek osiem procent, co daje wzrost rzędu dwa przecinek dwa procent...”), pierwsi słuchacze zasnęli. Jedyłą osobą, która podczas tego referatu nie musiała walczyć z sennością, był Micha — ale on czekał z tyłu sceny. Potem przyszła Miriam, chichocząc, bez koszuli FDJ, i szepnęła: „O rany, spóźniłam się, spóźniłam się. I czy w ogóle jestem w dobrym miejscu?”. Micha był oczarowany, chciał jej powiedzieć, że każde miejsce, gdzie ona się znajduje, jest dobre, ale z podniecenia prawie nie mógł mówić, wyszeptał więc tylko: „Tak, w dobrym”. Było ciemno i ciasno. Jeszcze nigdy nie był tak blisko niej. Miriam przyglądała mu się przez chwilę, potem odwróciła się plecami i zdjęła podkoszulek. Nie miała pod spodem nic. „Nie podglądać!”, szepnęła ze śmiechem, a Micha zapomniał nawet o oddychaniu, tak był przejęty. Miriam wyjęła z reklamówki bluzę FDJ i założyła ją. Jeszcze nie zdążyła zapiąć wszystkich guzików, a już odwróciła się z powrotem do Michy. Ten dalej stał jak sparaliżowany.

— No? — szepnęła Miriam. — Czy ty też coś zmalowałeś?

— Że co? — zapytał Micha, który nie zrozumiał, o co jej chodzi.

— Przecież za coś musieli cię ukarać.

– Ach tak, no jasne, że tak! – powiedział Micha, ale już nie szeptem, nagle zaczął mówić tak głośno, że nawet zebrani w sali mogli go usłyszeć, jeśli tylko trochę nastawili uszu. – Zaatakowałem Lenina, a do tego jeszcze klasę robotniczą i partię. Możesz sobie chyba wyobrazić, co się działo.

Ale im bardziej Micha starał się jej zaimponować, tym bardziej wydawała się znudzona.

– Taaak, wtedy napraaaawdę rozpętało się coś straszniejszego, prawie mnie wtedy mieli...

– Ci z Zachodu całują całkiem inaczej – przerwała mu Miriam rozmarzonym głosem, a Micha przełknął tylko ślinę i zamilkł.

– Chętnie bym komuś pokazała, jak oni to robią – szepnęła i zachichotała. Zaraz przestała chichotać – jakby właśnie przyszedł jej do głowy jakiś pomysł. Micha domyślał się, jaki to pomysł przyszedł jej do głowy. Za sceną było tak ciasno, że nie mógł cofnąć się ani o długość stopy. W ciemnościach widział jej pełne wargi, błyszczące i wilgotne. Powoli zbliżały się do niego, a on poczuł, że pod koszulą FDJ wznoszą się i opadają dwie niepokojąco pełne piersi, czuł jej delikatny kwiatowy zapach. Zamknął oczy i pomyślał: Nikt mi nie uwierzy...

Akurat w tym momencie Skarżypyta skończyła swój referat i Miriam została wezwana na mównicę. Wprawdzie za sceną było ciemno, ale nie na tyle, żeby Miriam miała nie zauważyć rozczarowania w oczach Michy. „Kiedyś ci pokażę!”, powiedziała, zachichotała ostatni raz i weszła na scenę. Tam wygłosiła mowę, w której oznajmiła, że za szczególnie męskich uważa tych chłopców, którzy idą do wojska na trzy lata. Takiemu chłopakowi byłaby oczywiście wierna przez całe te trzy lata. Erdmute Löffeling pokiwała z aprobatą głową. Tylko

Micha mógł dostrzec, że mówiąc to, Miriam za plecami skrzyżowała palce.

Micha był tym prawie pocałunkiem za sceną tak upojony, że już po paru zdaniach jego referat zaczął odchodzić od wcześniej przygotowanej pisemnej wersji. „Drogie członkinie i członkowie FDJ, chciałem dzisiaj pomówić o znaczeniu znajomości pism teoretyków światopoglądu materialistycznego. Ich myśli były prze-sycone wielką, nieśmiertelną miłością”, i w momencie, w którym wypowiedział to słowo, oczy mu rozbłysły i porwała go taka euforia, że całkowicie stracił panowanie nad sobą. „Miłością, która czyniła je silnymi i niezwycięzonymi, która sprawiła, że powstały jak motyl z kokonu, w którym były zamknięte, narodziły się, żeby fruwać swobodnie i szczęśliwie nad naszym wspaniałym światem, nad cudownymi łąkami pełnymi pachnących kwiatów w najpiękniejszych kolorach...”. Gruby rozejrzał się zatroskany dokoła i zapytał szeptem: „Czy ktoś mu czegoś dosypał do jedzenia?”. Mario szepnął w odpowiedzi: „Jeśli tak, to ja też bym chętnie tego spróbował”.

Podniosły nastrój Michy sprawił, że Erdmute Löffeling w swoim krótkim przemówieniu końcowym postawiła pytanie: „Czy rewolucjonista może być namiętny?”, i zaraz sama na to pytanie odpowiedziała: „Tak, rewolucjonista może także być namiętny”.

Mario musiał mocno trzymać Michę, bo ten o mało co nie wstał i z płonącymi oczami nie wykrzyknął na całą salę: „Tak! Tak! Bądźmy wszyscy trochę bardziej namiętni!”.

Po zebraniu Micha podszedł do Miriam i powiedział tak cicho, żeby nikt nie usłyszał:

— Widziałem, jak przy przemówieniu skrzyżowałaś palce.

— Ach tak? — odrzekła Miriam. — W takim razie mamy teraz wspólną tajemnicę.

Zostawiła Michę i poszła szybko do wyjścia.

Micha miał wrażenie, że słyszy pomruk AWO. Pobiegł od razu za nią, ale zobaczył tylko, że znika już za zakrętem na siodełku motoru. Nic jednak nie mogło zepsuć jego dobrego nastroju, nawet to, że posterunkowy znowu go wylegitymował.

Obiecała mi pocałunek, obiecała mi pocałunek, wykrzykiwało w nim coś radośnie przez całą drogę do domu. Wiedział jednak, że matka wygląda przez kuchenne okno, więc starał się, żeby nic nie było po nim widać.

Matka Michy miała na imię Doris i często mawiała o sobie: „To ja trzymam ten cały bajzel w kupie!”. I tak faktycznie było. „Ten cały bajzel” obejmował też rodzeństwo Michy, Bernda i Sabine, oboje byli starsi od niego.

Bernd był w wojsku, chociaż o mały włos by go to ominęło. Miał niezwykłą datę urodzenia, 29 lutego. W armii każdy luty miał prawdopodobnie tylko dwadzieścia osiem dni, ponieważ Bernd nie dostał wcale wezwania do wojska. A kiedy w gazecie ukazało się ogłoszenie, że wszyscy urodzeni wtedy-i-wtedy mają się zgłosić do służby wojskowej, Bernd chciał to po prostu zignorować: „Nikt nie może ode mnie oczekiwać, że będę codziennie czytał gazetę! Może wcale nie zauważą, że mnie nie ma, i zapomną o mnie”, stwierdził wtedy. „Przecież to się nigdy w życiu nie wyda!”. A pani Kuppisch, już wtedy strachliwa, odparła: „Coś takiego zawsze się wyda!”.

Więc Bernd w końcu poszedł jednak do Obwodowej Komendy Wojskowej. Rozpostarł przed komisją gazetę ze słowami: „Dzień dobry, przychodzę w sprawie ogłoszenia”. Dla oficerów zasiadających w komisji poborowej to wcale nie było śmieszne. Rozkazali: „Żarty skończyć!”, i objechali go porządnie: „Tu panują inne porządki! Nie tylko pod każdym względem, ale w całej rozciągłości”. Postraszyli Bernda dykaturąprolejatatu i stwierdzili, że jednak już prawie naruszył granice „nie tylko dozwolonego, ale wręcz dopuszczalnego”.

Kiedy Bernd wrócił z komisji do domu, opowiadał, że „oni tam wszyscy tak dziwnie mówią”. Ale jak później sam poszedł do wojska, też zaczął się tak dziwnie wyrażać. Gdy przyjeżdżał do domu na przepustki, Kuppischowie poznawali go z całkiem innej strony. Bo już nie pytał na przykład: „Kiedy będzie kolacja?”, ale: „Możemy wkrótce fasować prowiant?”. A kiedy zapytano go raz, jak było w teatrze, jego odpowiedź brzmiała mniej więcej tak: „Po wkroczeniu na widownię zająłem wyznaczoną pozycję w rzędzie ósmym. Żadnych nieprzewidzianych wypadków”. Cała rodzina bardzo się oczywiście martwiła o niego – ale starali się tego nie okazywać. Na pewno znowu będzie normalny, myśleli, to przejściowe.

Mimo że Bernd był w wojsku, w ciasnym mieszkaniu było dalej tak samo ciasno jak przedtem. Był to bardzo męczący dom, myślał Micha. Pan Kuppisch był motorniczym, i dlatego musiał często wstawać do pracy w godzinach nocnych. Przez cienkie ściany Micha słyszał wszystkie odgłosy, którymi mężczyzna zwykle rozpoczyna swój dzień. A ponieważ jako motorniczy pan Kuppisch pracował w różnych godzinach, Micha nigdy nie wiedział, kiedy ojciec wraca do domu. Ojciec Okularnika na przykład był inżynierem i codziennie wracał dokładnie za pięć piąta. W oczach Michy było to rajskie życie. Okularnik nie miał też żadnego rodzeństwa. Natomiast Micha miał oprócz brata Bernda jeszcze siostrę, która też była od niego starsza i miała na imię Sabine. Była akurat w tym wieku, kiedy zaczyna się mieć stałego chłopaka – i zawsze przyprowadzała go do domu. Ale chyba nie do końca zrozumiała, na czym polegała zasada stałego chłopaka – bo zawsze miała *innego* stałego chłopaka. Micha nawet nie starał się zapamiętać ich imion, zawsze mówił tylko „Aktualny Sabine”. Zaś Sabine za każdym razem tak bardzo kochała owego Aktual-

nego, że starała się za wszelką cenę do niego upodobnić. Raz pan Kuppisch przyłapał ją na wypełnianiu wniosku o przyjęcie do partii. O mało nie zaczął chodzić po ścianach (co przy ciasnocie ich mieszkania właściwie nie musi nic oznaczać), ale Sabine, usprawiedliwiając się, przywołała swojego Aktualnego: „On przecież też jest w partii!”.

— I zamierzam za nią poręczyć — oświadczył Aktualny. — Właśnie tak, poręcę za nią!

Sabine przytaknęła z radosnym oczekiwaniem, ale pan Kuppisch zakończył całą sprawę, odebrał jej wniosek, złożył go parę razy i wetknął pod krótszą nogę stołu.

Mimo że mieszkanie było naprawdę ciasne, mieścił się w nim wielki fotel. Był to ogromny, podobny do tronu fotel klubowy z podpórkami na łokcie i sprężynami, w które człowiek przyjemnie się zapadał. Zawsze siedział w nim wujek Heinz, wujek z Zachodu. Najwidoczniej Heinz niezwykle lubił ten fotel, bo bardzo często składał im wizyty. Zresztą był to cel i sens istnienia owego fotela.

Pan Kuppisch czytał zwykle „Berliner Zeitung”, a nie „Neues Deutschland”. To pierwsze to była gazetka zawierająca wiele informacji lokalnych oraz strony z ogłoszeniami, podczas gdy „ND” była *organem centralnym*. Pani Kuppisch odkryła pewnego razu, że we wszystkich gazetach piszą w gruncie rzeczy to samo, co poprzedniego dnia było w „ND”, chciała więc namówić męża na prenumeratę „ND”. Ale pan Kuppisch nie chciał: „Ani mi się śni czytać te duperele!”.

— Ale nasz sąsiad też czyta „ND”! — odparła na to pani Kuppisch. — To chyba nie może być takie złe.

— Przecież on jest w Stasi! — odrzekł pan Kuppisch.

— Skąd ty to wiesz?

— Bo czyta „ND”! — pan Kuppisch nieustannie znajdował dowody na przynależność sąsiada do Stasi.

Pani Kuppisch nie miała w tej sprawie całkowitej pewności. I zawsze przy tej okazji dochodziło do niekończących się dyskusji.

On: — Poza tym oni mają telefon.

Ona: — Ale to przecież o niczym nie świadczy!

On: — Ach taak? A co, to może my jesteśmy w Stasi?

Ona: — Oczywiście, że nie.

On: — A czy *my* mamy telefon? No?

— Nie, ale...

I tu już nic więcej nie przychodziło pani Kuppisch do głowy. Ich rodzina bowiem naprawdę nie miała telefonu.

— No właśnie — zagrzemiał gniewnie pan Kuppisch.

— Napiszę petycję.

— Ale uważaj, Horst, tylko uważaj — powiedziała pani Kuppisch.

Wujek Heinz, wujek z Zachodu, nigdy nie słyszał o petycjach:

— A co to takiego, ta petycja?

— To jedyna rzecz, której ci tam na górze się boją! — oznajmił pan Kuppisch, przewracając groźnie oczami, jakby jego petycje miały pokazać przedstawicielom władzy w ich pałacach, co to strach. — Jak rano wchodzę do łazienki i widzę, że nie ma wody w kranie, bo znowu coś majstrują przy rurach, to...

— E tam, petycja to po prostu skarga — stwierdził Micha, bagatelizując sprawę, a pani Kuppisch starała się zbagatelizować ją jeszcze bardziej:

— Skarga, skarga, jak to brzmi! Jakbyśmy się skarżyli.

— No pewnie, że się skarżymy! — oświadczył przekornie pan Kuppisch.

— Nie! — zaprotestowała pani Kuppisch. — My tylko przekazujemy impulsy... albo dajemy do myślenia... ewentualnie zapytujemy, albo też zwracamy się z prośbą, żeby... Ale skarżyć się? My? Nigdy w życiu!

Wujek Heinz był bratem pani Kuppisch i mieszkał też przy Alei Słonecznej, ale przy jej dłuższym końcu. Wiedział, że jako wujek z Zachodu ma wobec swojej rodziny zobowiązania. „Zaraz zobaczycie, co znowu przemyciłem”, z miną spiskowca mówił zawsze na powitanie, ścisząc przy tym głos. Wszystko, co Heinz przynosił ze sobą, było przemyczone. Wkładał sobie batoniki czekoladowe do skarpetek albo torebkę misiów-żelków do gaci. Nigdy go nie przyłapano. Ale za każdym razem przy przekraczaniu granicy oblewał się zimnym potem. „Heinz, to wszystko jest przecież dozwolone!”, tłumaczył mu Micha setki razy. „Żelki możesz przewozić!”.

Micha chciał, żeby Heinz choć raz przywiózł mu jakąś płytę. Może nie od razu *Moscow, Moscow*, ale na przykład *The Doors*. Dla Heinza takie akcje były jednak zbyt ryzykowne. Dobrze wiedział, co grozi przemycnikom.

– Dwadzieścia pięć lat Sybiru! Dwadzieścia pięć lat Sybiru za pół kilo kawy!

Micha potrząsał głową.

– Też o tym słyszałem, ale tam chodziło o pół roku Sybiru za dwadzieścia pięć kilo kawy.

Nawet modele aut były dla Heinza zbyt niebezpiecznym towarem.

– Mogą mnie wtedy oskarżyć o ten, eee, no, jak to się nazywa? Gloryfikowanie tego, eee, wroga klasowego, jak będę wam pokazywał, jakie u nas są samochody! – wykrzyknął. – Albo jak wam przywozę malutkie, śliczne auto policyjne, to będzie, że bagatelizuję zagrożenie ze strony przeciwnika. Nie mam ochoty z tego powodu rąbać drzew na Syberii! Ale właściwie dlaczego jeszcze ciągle chcesz te samochodziki?

No tak, dlaczego Micha ciągle jeszcze chciał samochodziki.

Zawsze z okazji przyjazdu Heinza pan Kuppisch zabierał się za rozkładanie stołu. Nigdy nie umiał sobie z tym poradzić. Mimo to jednak z nieustającym entuzjazmem podkreślał, jaka to praktyczna rzecz, taki rozkładany stół. Nawet korba, za pomocą której regulowało się wysokość, była jego zdaniem bardzo praktyczna. Twierdził też, że rowery składaki są bardzo praktyczne, tak samo jak składane szczoteczki do zębów. Każdą niewydarzoną konstrukcję, która miała zaoszczędzić miejsce i była brzydka, pan Kuppisch klasyfikował jako „praktyczną”. Optymizm, z jakim majstrował przy tych wszystkich swoich praktycznych sprzętach, miał w sobie coś z fanatyzmu. „Ech, to przecież pójdzie raz-dwa!”, powtarzał zawsze. Ale to nigdy nie szło raz-dwa.

Zwykle po usadowieniu się w ogromnym fotelu w pokoju Heinz zaczynał wodzić wzrokiem po mieszkaniu i wzdychać: „To przecież prawdziwa ceka śmierci!”. Parę lat temu odkrył za kaloryferem azbest i zawołał wtedy: „Azbest, wy tu macie azbest! Od tego dostaje się raka płuc!”.

Na to pan Kuppisch, który jeszcze nigdy nie sływał słowa „azbest”, wykrzyknął: — Napiszę zaraz petycję!

Pani Kuppisch odkrzyknęła: — Ale uważaj, Horst, tylko uważaj!

Pan Kuppisch jak zwykle nie napisał żadnej petycji, a azbest coraz bardziej popadał w zapomnienie, mimo że Heinz przy każdych odwiedzinach przypominał o nim, wzdychając: „Toż to prawdziwa ceka śmierci!”. W takich sytuacjach Micha zawsze porównywał swoich rodziców do małżeństwa Rosenbergów w Sing-Singu, a czasami nawet próbował sobie wyobrazić, jak by wyglądali w celi śmierci. (Jego ojciec, siedząc na krześle elektrycznym, wykrzykiwałby jeszcze zapewne: „Napiszę petycję! Jestem przecież niewinny!”).

Pewnego razu Heinz przemycił dla pani Kuppisch parę butów, które były wypchane starymi gazetami. Pan Kuppisch z zaciekawieniem rozprostował zmiętą stronę „BILD-Zeitung”, zaczął czytać i zbladł.

— Patrzcie — powiedział, wskazując na wytłuszczony tytuł:

ŚMIERĆ PO 15 LATACH
ZABÓJCZY AZBEST PRZYCZYNA RAKA!

— Cela śmierci! — wykrzyknął wujek Heinz. — Przecież to samo mówiłem!

Pani Kuppisch zaczęła liczyć.

Pan Kuppisch, Micha i Sabine pośpieszyli z pomocą.

— Wprowadziliśmy się tutaj...

— Poczekaj...

— No tak... piętnaście lat temu...

— Nie, wychodzi dłużej...

— Żadne dłużej! Jak odliczymy urlopy...

— ...no i czas, kiedy jesteśmy poza domem. Micha, Sabine, przecież wy codziennie jesteście sześć godzin w szkole?

— Mnie wychodzi niecałe... piętnaście lat.

Piętnaście lat. Na stole leżała wymięta strona „BILD-Zeitung”, gdzie czarno na białym było napisane, że po piętnastu latach zabójczy azbest powoduje raka.

— Napiszę petycję — powiedział pan Kuppisch łamiącym się głosem.

— Ale uważaj, Horst, tylko uważaj! Nie pisz tylko, skąd to wiesz. Myślisz, że pozwolą naszemu synowi studiować w Moskwie, jak będziemy się tak ciągle skarżyć?

— To on chce studiować w Moskwie? — zapytał Heinz z oburzeniem. — Przecież on powinien jechać do Harvardu, Oksfordu albo na Sorbonę! Do Rosji jedzie się albo z karabinem w rękę, albo z kulą u nogi.

– Heinz, nie przy chłopcu! – syknęła pani Kuppisch.

Micha wcale nie chciał koniecznie studiować w Moskwie; to jego matka podjęła taką decyzję. To ona zawsze podejmowała takie decyzje. Żeby móc studiować w Moskwie, Micha musiałby pójść do klasy przygotowawczej w specjalnej szkole nazywanej „Czerwonym Klasztorem”. A żeby dostać się do Czerwonego Klasztoru, musiał być wybitny pod każdym względem. Musiał mieć wybitne oceny, wybitne plany zawodowe oraz wybitne nastawienie polityczne, mieć wybitne zachowanie, okazywać wybitne zaangażowanie, otaczać się wybitnymi przyjaciółmi i pochodzić z równie wybitnej rodziny.

– Musimy wszyscy starać się zachować nie-ska-zi-tel-ną opinię – mawiała pani Kuppisch, wiedziała bowiem, co się liczy. – Horst! Od dzisiaj nie będziesz już czytał „Berliner Zeitung”, tylko „ND”.

– Co, „ND”? Przecież ta gazeta jest taka duża!

– Właśnie! Wtedy wszyscy będą *widzieli!*

– Nieee, przecież u nas jest tak ciasno. Może mi powiesz, jak mam tutaj rozłożyć „ND”!

– No to usiądź przy oknie, wtedy każdy będzie cię widział. Jak potem do naszych sąsiadów przyjdzie Stasi i będzie się o nas rozpytywać, to od razu każdy powie, że u nas czyta się „ND”. No i wszystko będzie w porządku, Micha pójdzie do Czerwonego Klasztoru i będzie studiował w Moskwie.

– Stasi nie *przyjdzie* do naszych sąsiadów, bo oni już są w Stasi! – stwierdził pan Kuppisch.

– Dobra, dobra, co ty tam wiesz – odparła pani Kuppisch.

– Pewnie, że wiem! Sam widziałem, że im wartburga naprawili w ciągu tygodnia. No? Czy ktoś może to wytłumaczyć?

Micha kiedyś raz nawet zapytał spotkanego na klatce schodowej sąsiada, gdzie pracuje. Sąsiad przyjrzał mu się w taki sposób, jakby to pytanie było co najmniej nieprzyzwoite. Micha zaczął udawać niewiniątko i próbował się tłumaczyć: „Pytam tylko pod kątem wyboru przyszłego zawodu. Jeżeli ktoś wychodzi do pracy dopiero o wpół do dziewiątej, a jego żona siedzi cały czas w domu... Pan rozumie: móc się wyspać, a mimo to zarobić tyle, żeby starczyło dla dwojga – coś takiego by mnie interesowało!”. Odpowiedzi, oczywiście, nie usłyszał.

Micha naprawdę nie wiedział, kim ma zostać. Kiedy kręcił się po placu, przysłuchiwał się, jak Okularnik i Mario gadają na swój nowy ulubiony temat. Okularnik odkrył mianowicie, że jak się dobrze przyjrzeć, to praktycznie nie ma niepolitycznych kierunków studiów – czy w takim razie matura w ogóle się opłaca, jeśli nie istnieją żadne niepolityczne studia?

Mario: – A architektura?

Okularnik: – Żeby budować domy takie, jak chce SED?

Okularnik dowodził nawet, że studia na historii starożytnej też nie są wcale wolne od polityki: uczą tam przecież tylko o tym, jak to nawet wtedy wszyscy śnili i marzyli o SED.

Ale te dyskusje zwykle zamierały, kiedy przez granicę przejeżdżał na wschodnią stronę autokar z turystami. Wtedy Mario i Micha podbiegali do autokaru, wyciągali błagalnie ręce, wybałuszali oczy i wołali: „Jeść! Jeść!”.

Turyści byli zaszokowani tym, że za żelazną kurtyną panują tak straszne warunki, i zaczęli pstrykać zdjęcia, a kiedy autobus zniknął za zakrętem, Mario i Micha pokładali się ze śmiechu, wyobrażając sobie, jak te zdjęcia będą pokazywane w Pittsburgu, Osace czy Barcelonie. Reszta chłopaków z placu nie miała ochoty brać

w tym udziału. Tymczasem Mario i Micha coraz bardziej angażowali się w swoje role, ich kreacje stawały się przerysowane i teatralne – zwijali się z bólu, rozgrzebywali w rozpaczony kosze na śmieci, udawali nagłe ataki albo bili się o listek sałaty leżący przed sklepem warzywnym. Oczywiście, mieli nadzieję, że ich show pod tytułem „Jeść! Jeść!” zauważy kiedyś Miriam i może uda im się ją rozśmieszyć albo wzbudzić w niej coś na kształt podziwu, ale Miriam nigdy nie pokazywała się w pobliżu, kiedy autokary z turystami przejeżdżały przez granicę.

Trzech ze szkoły tańca

Od czasu obietnicy pocałunku Micha tylko raz natknął się na Miriam. Szli razem kawałek ulicą, a Micha nie wiedział, o czym ma z nią rozmawiać. Pomyślał o azbeście, i w końcu powiedział tylko: „Już niewiele życia mi zostało”. A gdy się rozchodzili, rzucił: „No to cześć”.

Za pomarańczowy model Monteverdi Hai wyciągnął od brata Miriam informację, że zapisała się do szkoły tańca. Nieostrożnie ogłosił tę informację na placu – na co Mario, Okularnik i Gruby także się tam od razu zapisali. Micha nie chciał, bo nie umiał tańczyć. Mario stwierdził: „No właśnie dlatego! Nikt na kursie tańca nie umie tańczyć!”. Micha nie chciał sam snuć się po placu, gdy pozostali będą chodzili na lekcje tańca razem z Miriam, ale jakoś nie mógł się przemóc, żeby się zapisać na ten kurs. Poszedł wprawdzie do szkoły tańca i zobaczył na tablicy, że nauczycielka nazywała się Schlooth – ale nie zapisał się. Gdy jednak zauważył, że przez okna klatki schodowej naprzeciwko może zaglądać do szkoły tańca, schował się tam i z ukrycia obserwował rozwój wydarzeń w sali.

Zobaczył dwa ustawione naprzeciwko siebie rzędy krzesel: w jednym rzędzie siedziało około dwudziestu starannie uczesanych panów, a w drugim taka sama liczba wystrojonych pań. Pośrodku znajdował się parkiet do tańca, na którym stała nauczycielka i coś tłumaczyła.

czyła, trzymając w rękach nóż i widelec. Micha domyślił się, że w szkole tańca uczą nie tylko tańca, ale także zachowania w ogóle. A ponieważ mył ręce przed jedzeniem i nie wycierał nosa w rękaw koszuli, nie sądził, żeby miał najgorsze maniery na świecie.

Pani Schlooth, nauczycielka tańca, była damą o wyraźnej nadwadze, w szpilkach, tlenioną na blond, której asystowało dwóch młodocianych tancerzy turniejowych w obcisłych kombinezonach. Micha nigdy wcześniej nie potrafił rozpoznać pedała; zawsze był ktoś, kto mu mówił: ten i ten to pedał. Ale gdy Micha zobaczył tych dwóch tancerzy turniejowych, miał już gotowy obraz pedała – nazwał ich nawet: pedzie turniejowe.

Pani Schlooth demonstrowała nowy taniec i po parę kroków tańczyła na zmianę to z jednym, to z drugim pedziem turniejowym. Okazało się przy tym, że pani Schlooth całkiem nieźle potrafiła na szpilkowych obcasach wprawić w ruch swoją niemałą masę. I gdy pokazywała nowy taniec w ramionach jednego pedzia turniejowego, Micha przyglądał się, jak drugi, pozostawiony sobie pedzio patrzy na nich tak, jak gdyby ćwiczył rzucanie zazdrosnych spojrzeń.

Po pokazie tańca jeden z pedziów szedł do pulpitu, za którym leżał przygotowany stos płyt, i kładł nową płytę na talerz gramofonu. Później wszyscy zajęli pozycje. Panowie mieli wstać i poprosić panie. W tym momencie Micha zrozumiał, że udział w szkole tańca oznaczał, że znalazłby się bardzo, naprawdę bardzo blisko Miriam, i jeśli miałby zimne palce, wilgotne ręce, nieświeży oddech albo byłby spocony pod pachami, nie dałoby się tego ukryć.

Następnie, gdy uczniowie ćwiczyli nowy taniec, co wyglądało tak śmiesznie, jak Micha zawsze sobie wyobrażał, pani Schlooth indywidualnie korygowała pary.

Pedzie turniejowe rozdzielały czasami jakąś parę i każdy z nich tańczył chwilę z jedną połową pary, taki rodzaj praktycznego instruktażu. Oznaczało to, że zawsze jeden z dwudziestu panów tańczył z pedziem turniejowym. Ciężka sprawa, pomyślał Micha. Poza tym podzielone pary po ponownym połączeniu nie tańczyły ani trochę lepiej. Micha był w stanie to zrozumieć: on też, gdyby mu przyszło tańczyć z mężczyzną, byłby tak spięty, że niczego by się nie nauczył.

Pani Schlooth kazała zmieniać partnerów po każdym tańcu, panowie musieli prosić następną w kolejności panią. W ten sposób każdy z uczniów miał w czasie jednej lekcji tańca około dwunastu partnerów – łącznie z pedziami turniejowymi. Lekcja się skończyła i gdy Micha zobaczył, jak uczniowie żegnają się na ulicy i rozchodzą do domów, pomyślał, że może jednak kursy tańca nie są takie straszne – i zapisał się.

Ale z początku było o wiele gorzej, niż myślał. Z naku pani Kuppisch Micha musiał zakładać do szkoły tańca porządne ubranie. A jedynym porządnym ubraniem, jakie posiadał, był garnitur z Jugendweihe, jego świeckiej konfirmacji. Z tym że Micha urósł w ciągu roku dziesięć centymetrów, i jego kusy garniturek wywoływał za każdym razem wyjątkowe wrzaski na platformie widokowej. Posterunkowy, z którym od czasu degradacji z powodu *Moscow, Moscow* Micha miał na pieńku, specjalnie sprawdzał jego dokumenty w pobliżu wieży widokowej, co dla Michy bardzo pogarszało sprawę; legitymowaniu towarzyszyły wtedy oklaski i okrzyki: „Tak jest, panie sierżancie, niech pan mu nie przepuści!” albo „Zatrzymać! Zatrzymać! To wygląda na sprawę kryminalną!”, albo „Aresztować! Przesłuchać! Na tortury!”. Tak było przed *każdą* lekcją tańca. To był dla Michy trudny okres.

W szkole tańca panowie siedzieli naprzeciwko pań i oczywiście wszyscy łakomie gapili się na Miriam. Wszystko wyglądało mniej więcej tak, jak Micha sobie wyobrażał. Gdy pani Schlooth pokazywała pierwsze kroki taneczne, Micha był znowu pod wrażeniem elegancji jej ruchów – ta tłusta damulka unosiła się i wirowała z taką lekkością, jakby nic nie ważyła.

Potem nadeszła chwila, na którą wszyscy czekali. Pani Schlooth ogłosiła: „No a teraz panowie wstają, każdy pełnym godności krokiem podchodzi do pani, aby skinieniem głowy poprosić ją do tańca”. I w tym momencie pani Schlooth chyba to i owo się wyjaśniło. Bo kiedy Micha zapisywał się na kurs, pani Schlooth była bardzo zdziwiona, że tym razem nie ma „problemu z parami”, jak się wyraziła. Przeważnie na kursy tańca zgłaszało się o wiele więcej pań niż panów. Niekiedy ten problem był tak kłopotliwy, że przyjmowano panie tylko wtedy, jeśli miały ze sobą pana. Czasami od panów nie żądano nawet opłaty – choć tylko w wypadku, gdy już raz chodzili na kurs i chcieli wszystko powtórzyć. Ale na kursie Michy nie było problemu z parami, przynajmniej nie w tym sensie. I gdy pani Schlooth poleciła panom poprosić panie do pierwszego tańca, zrozumiała dlaczego. Gdyż jej polecenie równało się praktycznie rozkazowi do ataku na Miriam. Linia panów zwarła szeregi w jednym miejscu. Doszło do przepychanek i kilku upadków. Micha jako pierwszy znalazł się przy Miriam. Był pierwszym, który mógł objąć jej biodra, ująć dłoni i spojrzeć w oczy. Nie wierzył, że to jedno mogło go tak bardzo uszczęśliwić: po prostu trzymać ją w ramionach. Czuł dotyk jej delikatnego ciała, równomierny oddech i zapach włosów. Jednak potem zaczął się taniec i romantyczny nastrój prysł. Micha ani trochę nie umiał tańczyć. Ciągle deptał Miriam po nogach, a ona już po

dwóch minutach chciała się tylko od niego uwolnić. Jej życzenie się spełniło: zgodnie z przyjętym zwyczajem Micha musiał po jednym tańcu przekazać ją dalej. Następnym partnerem Miriam był Mario. Wcale nie był lepszy. I tak się to ciągnęło — każdy chciał tańczyć z Miriam, ale wszyscy tylko przydeptywali jej stopy.

Lekcje tańca miały zawsze ten sam przebieg, tydzień w tydzień: zaczynały się wielką walką o Miriam, potem po każdym tańcu następowała zmiana. Na samym początku lekcji była nawet walka o miejsce naprzeciwko Miriam, bo stamtąd droga do niej była najkrótsza. Aż Micha zrewolucjonizował ten zwyczaj i na każdej lekcji starał się zapewnić sobie ostatni taniec z Miriam. Był na tyle mądry, że utrzymał w tajemnicy swą taktykę, a przede wszystkim to, w jaki sposób rzeczywiście udawało mu się zawsze utrafić dokładnie w ostatni taniec.

Przypomniał sobie, jak z klatki schodowej naprzeciwko zauważył, że na każdą lekcję był przygotowany stosik płyt. Wystarczyło więc tylko policzyć płyty przed lekcją, żeby się dowiedzieć, ile tytułów będzie granych — a potem policzyć krzesła z paniami, zaczynając od Miriam, i Micha już wiedział, z którą ma zacząć tańczyć, żeby na ostatni taniec przypadła mu Miriam. I tak, kiedy dwudziestu panów walczyło o Miriam, on pełnym godności krokiem podchodził do damy, od której miał zacząć. Jeśli całe dziewięć tańców ćwiczono fokstrota, Micha mógł przez osiem kawałków iść na całego — nie miał żadnych skrupułów, mógł partnerki maltretować, deptać albo nawet przewracać. Ilekroć podczas tańca rozlegał się stuk i łomot, wszyscy wiedzieli, że to znowu tancerka Michy zeszła do parteru. Tylko w judo było gorzej. Wkrótce Micha zaczął się cieszyć złą sławą, szep-tano za nim „postrach dziewcząt”. Jego tancerki poka-

zywały sobie nawzajem obrażenia, jakie odniosły, tańcząc z nim. Ale Micha traktował je jak materiał ćwiczebny. „Kto się zapisuje na kurs tańca, powinien wiedzieć, na co się naraża”, mawiał. Dopiero przy ostatnim tańcu, z Miriam, Micha chciał być dobry. I to mu się rzeczywiście udawało. Może dlatego, że jako jedyny przewyciężył paniczny lęk przed pedziami turniejowymi i rzeczywiście potrafił wyciągnąć korzyści z tańców z nimi.

Miriam mianowała go w końcu najlepszym tancerzem. Po ostatniej lekcji, po nauce tanga, zapytała go, czy nie chciałby iść z nią na bal końcowy. Tak właśnie Micha sobie to wszystko zaplanował.

Uradowany powodzeniem swoich kalkulacji, przeczył jednak, że w ciągu ostatnich tygodni cztery razy zaczynał od Szrapnela, przy walcu, boogie woogie, charlestonie i rumbie. Szrapnel myślała więc teraz, że to *ona* jest wybranką Michy, który po prostu nie umie tego okazać.

Kudłaty nie chodził do szkoły tańca. Takie rzeczy go nie interesowały. Kudłatego zresztą nic nie interesowało, nic oprócz muzyki: a z muzyki interesowali go z kolei wyłącznie Rolling Stonesi. I kiedy reszta chłopaków z placu chodziła na kurs tańca, Kudłaty starał się skombinować *Exile on Main Street*, podwójny album Rolling Stonesów z 1972 roku. Chciał go tylko przegrać, ale za to w nieskazitelnym brzmieniu brytyjskiego tłoczenia, żadnego jugolskiego gówna, a tym bardziej indyjskiego. Podobno był taki jeden, Franki, co miał wszystkie albumy Stonesów. Mówiono, że jeśli Franki akurat nie kibluje za napad z pobiciem, to siedzi w domu i słucha Stonesów na cały regulator. Kudłaty poszedł do Frankiego i rzeczywiście, już na podwórku słyszał *Paint It Black*. Wprawdzie to nie było z *Exile*, ale prawie. Kudłaty wszedł po schodach i stanął przed drzwiami, spoza których niezaprzeczalnie było słychać Stonesów. Zadzwo nił i zapukał – Franki nie otwierał, a tymczasem zza drzwi dudniło *Brown Sugar*, *Gimme Shelter*, *Have You Seen Your Mother Baby* i *Honky Tonk Woman*. Kudłaty usiłował nie myśleć o rejestrze wykroczeń Frankiego i zaczął młócić w drzwi z całej siły – najpierw pięściami, a potem też nogami. W końcu drzwi się otworzyły. Ścisłej mówiąc, ktoś szarpnął je gwałtownym ruchem. Stańto w nich wielkie wytatuowane bydlę z recydywą wypisaną na twarzy i spojrzało na Kudłatego. Kudłaty dzielnie za-

pytał o *Exile*. Wytatuowane bydlę ze zwisającą dolną wargą dalej gapiło się na niego, a on starał się obojętnie wytrzymać to spojrzenie. W końcu dostał adres jakiegoś hipisa, który mieszkał w Strausbergu i teraz był podobno posiadaczem *Exile*. „Przegrałem, po pijaku”, powiedział Franki schrypniętym głosem, a Kudłaty, niewiele myśląc, dał nogę.

Kudłaty pojechał więc na swoim składaku do Strausbergu i odszukał Strausberskiego Hipisa. Hipis mieszkał w baraku budowlanym. Przy baraku rosły dwa drzewa, między którymi był zawieszony hamak. W hamaku leżał Hipis. Słuchał muzyki i czytał książkę pod tytułem *Fan Man*. Kudłaty nie miał odwagi wejść do baraku, bo cała jego podłoga zasłana była porozrzucanymi wszędzie okładkami płyt. Aby przejść przez barak, trzeba było brodzić w płytach – dla Kudłatego byłoby to świętokradztwo.

– Chłopie, a ty kto jesteś, chłopie? – odezwał się Strausberski Hipis.

– Mam twój adres od Frankiego, tego z tatuażami – odpowiedział Kudłaty.

– Taaa, chłopie, znam, z Berlina. Zwariowane miasto, chłopie, z taką wieżą telewizyjną w środku. A co cię, chłopie, do mnie sprowadza?

– No, bo to ty masz teraz *Exile on Main Street*.

– Niece, chłopie, źle to widzisz. Jasne, że ją miałem od Frankiego, ale wiesz, chłopie, dostałem za nią Zappę i Zeppelinów. To niezły album, ten *Exile*, ale rzeczy muszą być w ruchu, wiesz, muszą krążyć, tak jak ta cudowna książka, co ją dostałem ze świętych rąk, tak, chłopie, świętych. Mam pełno płyt, ale *Exile* tu nie znajdziesz.

Kudłatemu udało się przynajmniej ustalić, z kim Hipis wymienił płyty. „No, chłopie, jak to z kim, z Bergmannem, chłopie!”. A ponieważ Bergmann mieszkał

w Berlinie, Kudłaty wsiadł na rower i popedałował z powrotem do Berlina.

Kiedy wuefista dowiedział się, że Kudłaty bez wysiłku pokonuje dłuższe odcinki na swoim składaku, pojawił się u niego w domu razem z trenerem kadry młodzików. Śmieszna sytuacja: dwóch facetów w dresach próbuje namówić Kudłatego, żeby zapisał się do klubu sportowego. Kudłaty wykręcał się: — Nie mam w ogóle żadnych ambicji olimpijskich. Treningi to nie dla mnie, w życiu. No, może ostatecznie skok o tyczce.

— Dlaczego akurat skok o tyczce? — zapytał zdziwiony trener.

— Bo wtedy skacze się wyżej niż trzy metry czterdzieści pięć — odparł Kudłaty, ale nikt nie rozumiał, co chciał przez to powiedzieć. Mur miał trzy czterdzieści pięć wysokości, a Okularnik opowiadał, że wszystkie sporty, które mogły być wykorzystane do ucieczki, były zabronione. Na Bałtyku nie wolno było żeglować ani uprawiać windsurfingu. Także lotnie i paratlotnie były zabronione — żeby nikomu nie przyszło do głowy polecieć na Zachód z jakiegoś wieżowca przy granicy. To też Okularnik wiedział. Znał się na rzeczach, o których nikt nie miał pojęcia, chociaż wszystkich dotyczyły.

Kudłaty nie został oczywiście tyczkarzem — przypuszczał nawet, że to tylko kwestia czasu, kiedy skoki o tyczce też zostaną zabronione. Kudłaty podążał tropem *Exile on Main Street* — a płytę posiadał podobno, jak powiedział Strausberski Hipis, ktoś, kto nazywał się Bergmann.

Bergmann był trochę strachliwy, bał się na przykład rewizji w domu, dlatego pochował te ze swoich płyt, które uważał za wyjątkowo niebezpieczne, w nie budzące podejrzeń koperty. Longplaya Erica Burdona schował na przykład w kopertę po *Das wohltemperierte Klavier*

Bacha. Płytę Bachmann-Turner Overdrive zamaskował okładką orkiestry dętej. A żeby ukryć *Exile*, kupił sobie nawet specjalnie dwie płyty chóru wojskowego Aleksandra; *Exile* była przecież podwójna, potrzebował więc dwóch okładek. Dziewczyna Bergmanna bardzo się zdziwiła, kiedy nagle w jego płytotece pojawiły się radzieckie chóry wojskowe.

Potem Bergmann trafił do wojska, gdzie prześladował go pech za pechem. Najpierw świeca dymna odpaliła mu w kiblu. Za to skreślono mu urlop. Potem źle naprowadzał czołg, tak że czołgista przy wycofywaniu załatwił popiersie Gagarina. Za to też skreślili mu urlop. W końcu Bergmann zapomniał nawet swojego pancerfausta w knajpie, zostawił go w kącie jak parasol. Za to oczywiście też skreślili mu urlop, a do tego trafił na dziesięć dni do paki. Jego dziewczyna odkorkowała już nawet w domu wino i czekała na niego w samej halce, bo taka była wyposzczona, ale zamiast Bergmanna znowu przyjechał posłaniec z telegramem. Wtedy wpadła w taką wściekłość, że sama wypiła całą butelkę, zaczęła kłać wojsko w żywy kamień i, ciągle w halce, potłukła obie wojskowe płyty Bergmanna na drobne kawałeczki. Z wściekłości miała łzy w oczach, nie widziała więc, co naprawdę rozbija.

Kudłatemu też łzy stanęły w oczach, kiedy usłyszał, jaki koniec spotkał jedyny znany mu egzemplarz *Exile on Main Street*.

Łzy obeschły dopiero wtedy, gdy usłyszał o Kanciarzu, chudym dealerze płyt, który jak zjawa wystawał pod wiaduktem kolejki podmiejskiej i sprzedawał płyty, które zdobywał jakimiś ciemnymi kanałami. Jedni mówili, że pracuje dla Stasi, inni, że dla trzech tajnych służb naraz, a jeszcze inni twierdzili, że wynajduje dyplomatom dziewczyny chętne na imprezy topless. Byli

też tacy, co mówili, że Kanciarz wozi po prostu niższy personel ambasad nad morze i za to dostaje od nich zachodnie rzeczy. To mogła być prawda, bo pod wiaduktem był zawsze we wtorki między szóstą i siódmą wieczorem, a kto wtedy chce jeździć nad morze?

Kiedy Kudłaty o wiadomej porze zjawił się pod wiaduktem, rzeczywiście zobaczył chudego typka z kwadratową torbą, który po prostu stał i gapił się przed siebie. I mimo zmierzchu dealer miał na nosie okulary słoneczne. To zrobiło na Kudłatym duże wrażenie, dlatego najpierw próbował dowiedzieć się, jak takie sprawy się odbywają. Stał więc w odpowiedniej odległości i czekał na rozwój sytuacji. Interesant musiał najpierw złożyć zamówienie, które Kanciarz przyjmował z pełnymi wyższości komentarzami. „Po co ci Dylan? Przecież na Zachodzie *nikt* już tego nie słucha!”, „Bee Gees? To popiskiwanie eunuchów, pedalski dyskotekowy szajs!”, „O Stonesach lepiej zapomnij, po śmierci Briana Jonesa to już nie to”. Kanciarz mógł sobie pozwolić na taką arogancję, bo naprawdę był w stanie skombinować wszystko. Gdy Kudłaty zamówił u niego *Exile on Main Street*, brytyjskie tłoczenie, zafoliowane, Kanciarz skomentował: „Jasne, że zafoliowane! Myślisz, że jeszcze chce mi się słuchać tych bzdetów?”.

Trzy tygodnie później Kanciarz rzeczywiście miał w swojej torbie zafoliowaną *Exile*, ale chciał od Kudłatego trzysta marek.

— Co? Trzysta marek? — zapytał Kudłaty, niemile zaskoczony. — Na wakacjach muszę na to pracować cztery tygodnie!

— I bardzo dobrze! Jeśli Stonesi siedzieli cztery tygodnie w studiu, ty też możesz przynajmniej popracować na to cztery tygodnie!

— Ale ja nie mam trzystu marek!

– A pięćdziesiąt zachodnich? – zapytał Kanciarz.

– Nieee, pięćdziesięciu zachodnich też nie mam! – odparł Kudłaty.

Kanciarz westchnął szyderczo i schował zafoliowany podwójny album z powrotem do torby.

– No to masz o pięćdziesiąt zachodnich za mało – powiedział chłodno.

Kudłaty przelknął ślinę i obiecał, że wróci, jak tylko będzie miał szmal. Mario chyba już wtedy powiedział, że Kudłaty nigdy nie wysłucha swojej *Exile*, bo nie będzie miał serca rozrywać oryginalnego zafoliowania. „O wiele ciekawiej jest czegoś pożądać niż to mieć. Jak na przykład kobiety”, powiedział Mario, a wszyscy obecni kiwnęli potakująco głowami i pomyśleli z zazdrością: rany, ten to się zna!

Wtedy muzyka była o wiele lepsza niż teraz. Tak mówią wszyscy, którzy wtedy mieli już magnetofony kasetowe. Wtedy wszystko się przegrywało. To był prawdziwy szal, wszyscy to robili. Ktoś miał płytę, a potem przegrywało się ją na kasetę. Dzisiaj cały świat używa kompaktów. Kompakty są lepsze, ale płyty winylowe mają o wiele więcej uroku. Kiedy kompakt się zawiesi, brzmi to jakoś drażniąco i agresywnie, dźwięk przeskakującej płyty ma natomiast w sobie coś muzycznego, jest trochę jak kołysanka, przynajmniej po sześciu, siedmiu powtórzeniach. Z płytami trzeba było obchodzić się bardzo ostrożnie, żeby nie powstały rysy – czarne krążki były przecież bardzo delikatne. Miało się poczucie obcowania z czymś drogocennym. Z jaką delikatnością Kudłaty obchodził się ze swoimi płytami, jak uroczyście wyjmował je z kopert i zawsze dotykał tylko w środku i z brzegu, nawet okładki brał tylko za brzegi... Okularnik przegrał sobie angielskie tłoczenia na swojego ZK20 i słuchał

tylko taśm, bo bał się, że igła pozdziera mu płyty. Mario słuchał swoich zachodnich płyt tylko w samotności, żeby ktoś przypadkiem nie potracił adapteru. Chodził nawet na palcach, bo się bał, że przy każdym stągnięciu igła może przeskoczyć i płyta się zatnie. Ale do przegrywania zawsze ktoś się znalazł. Schodziło się parę osób, żeby przegrać dwa, trzy albo więcej longplayów. Nawet nie trzeba było się jakoś szczególnie znać, wystarczyło, że wszyscy lubili tę samą muzykę. Gadali, słuchali muzyki i mieli tyle czasu, ile dusza zapagnie. Czuli wtedy, jak to jest stawać się mężczyzną, a muzyka, której przy tym słuchali, była bardzo ostra.

Micha nie miał zachodnich płyt — mimo wujka z Zachodu. Płyt nie dało się przemycić w gaciach, a do takich sztuczek, jak podwójne dno, wujek Heinz nie był odpowiednim człowiekiem. Wystarczyło, że pogranicznik tylko trochę dokładniej wertował jego paszport, a już wujek Heinz żałował, że przez swoich biednych krewnych naraża się na straszliwe ryzyko przyłapania. Raz, kiedy pogranicznik zaczął triumfalnie wymachiwać jego paszportem, serce Heinza ze strachu prawie przestało bić. „Wie pan, co ja myślę?”, powiedział pogranicznik, kiedy zobaczył tyle stempli wjazdu. „Wie pan, co mam na myśli? Ktoś, kto nas odwiedza tak często, jak pan, wie pan, o co mi chodzi?”.

Heinz poczuł, że coś stanęło mu w gardle, potrząsnął więc tylko milcząco głową. Bał się, że przyłapią go z tą paczką herbatników, którą za pomocą taśmy klejącej przymocował sobie do łydki. Pogranicznik poprosił go do swojego baraku, a Heinz pomyślał: to już na pewno koniec. Od teraz będzie oglądał tylko świat w kratkę. Wyciągnął nawet przed siebie ręce, spodziewając się kajdanek. Lepiej od razu do wszystkiego się przyznać.

— Ktoś, kto tak często przyjeżdża, jak pan — powiedział pogranicznik i ściszył w zaufaniu głos — jest na pewno zwolennikiem naszego ustroju!

Heinz asekuracyjnie skinął głową. A pogranicznik szepnął, rzucając mu porozumiewawcze spojrzenie:

„Coś panu pokażę. Ale – psst!”. Odrzucił osłaniające coś prześcieradło i oczom wujka ukazał się skonfiskowany japoński czteroelementowy zestaw stereo z trójdrożnymi kolumnami „bassreflex”, rozbudowaną częścią programowania tunera, oddzielną regulacją niskich i wysokich tonów, niezależnym sterowaniem obu kanałów, przełącznikiem „mono/stereo”, przełącznikiem „ferro/chromo”, całą masą przełączników zakresów fal oraz innych funkcji, i do tego jeszcze czterema przyciskami „on/off”. Pogranicznik ustawił się przy sprzęcie i triumfująco zapytał: „No i?”.

Wujek Heinz nie wiedział, co ma na to powiedzieć, ale też pogranicznik niczego się nie spodziewał. „No, niech się pan tylko przypatrzy!”, powiedział. „Przecież to o wiele za skomplikowane! I coś takiego robią na Zachodzie! A u nas...”.

I przy tych słowach zaprezentował radiodbiornik Fichtelberg, który wiódł swój skromny żywot na parapacie, obok marniejących kwiatków doniczkowych. Fichtelberg miał cztery pokrętła – trzy duże i jedno małe, skalę i jeden głośnik.

– To jest dopiero coś! – powiedział z dumą pogranicznik. – Z tym robotnicy nie mają problemów, niech mi pan wierzy. O, tu: jeden guzik, żeby włączyć, wyłączyć i regulować głośność – co za oszczędność materiału! A i głośnik od razu jest wbudowany, nie tak, jak u tamtego. Tamtego nie można przecież słuchać bez osobnych głośników! A one dodatkowo kosztują i zajmują więcej miejsca!

Heinz, który jeszcze przed chwilą widział się w drodze na Sybir, domyślił się, że to musiało być nieporozumienie, ale raczej na jego korzyść. Jako rzekomy wielbiciel NRD miał zostać poinformowany o najnowszych tutejszych dokonaniach. Zastanawiał się, czy rodzina Kuppi-

schów kiedykolwiek będzie w stanie ocenić, co znaczy dla niego raz za razem przekraczać granicę z zakazanymi prezentami, które w bardzo skomplikowany sposób przymocowywał na sobie. A przedtem całymi tygodniami zastanawiał się, które miejsca będą najlepsze jako schowki. Nigdy żaden z Kuppischów nie pozna uczucia, jakie ogarnęło Heinza przed enerdowskim pogranicznikiem. Heinz, oczywiście, nigdy w życiu nie zamieniłby się z Kuppischami na ich strefę — uważał jednak za niesprawiedliwe, że nie mają absolutnie pojęcia, co przeżywa za każdym razem przy przekraczaniu granicy.

Pogranicznik nie przestawał wychwalać zalet radia Fichtelberg, ale Heinz chciał jak najszybciej opuścić ten przegrzany barak, gdzie jedna z płyt sufitowych była już pęknięta, a z góry prószły drobinki azbestu.

— Od tego dostaje się raka — powiedział Heinz, co wprawiło pogranicznika w jeszcze lepszy humor.

— No właśnie, takie problemy mają ci tam, na Zachodzie — odparł i otworzył szeroko usta. W środku wyglądało, jakby cały rok studentów stomatologii ćwiczył na nim plombowanie. — Niech han haczszy! Si na hachodzie hyśła, he s hego sie hostaje haka.

Oddał Heinzowi paszport i w szampańskim nastroju poklepał go po plecach:

— Ale ja jeszcze nigdy nie miałem raka. A podczas gdy my budujemy socjalizm, ci wasi tam trzęsą się przed rakiem albo budują radia, których nikt nie umie obsługiwać. Cha, cha, oni przecież nie mają żadnych szans!

Heinz kiwnął głową i rozważał przez chwilę, czy nie pożegnać się gestem walecznie wzniesionej pięści, ale zrezygnował z tego, bo mogłoby to być odebrane jako odgrążanie się. Heinz nigdy nie mógł pojąć, dlaczego komuniści pozdrawiają się wzniesionymi pięściami.

Chciał nawet zapytać Aktualnego Sabine, jej partyjnego poręczyciela, ale on już był nieaktualny. Obecny Aktualny Sabine pracował w teatrze i był maszynistą teatralnym z ambicjami. Chciał zostać reżyserem. I chociaż dużo mu do tego jeszcze brakowało, już teraz rozprawiał o „moich aktorach” i o tym, że aktorzy powinni poddawać się rękóm reżysera jak masło. Pan Kuppisch zapytał go kiedyś: „A dlaczego masło, a nie szmalec?”.

Kiedy Heinz z herbatnikami w nogawce ostrożnie wchodził po schodach, usłyszał, jak Sabine deklamuje wersy z *Makbeta*: „... duchy, co na zbrodniczych żerujecie myślach, sprawcie, by we mnie umarła kobieta”*. Już od dwudziestu minut męczyła się nad tą linijką, ale ponieważ była w wannie, jej starania ulegały zawsze kontekstualnym zakłóceniom.

Ilekcją Heinz odwiedzał rodzinę swojej siostry, prawie zawsze zdarzało się coś takiego, co go szokowało. Także tym razem aż zaniemówił, witając się z siostrą. Pani Kuppisch stała akurat przed lustrem, ale wyglądała tak, jakby nagle postarzała się o dwadzieścia lat. Pan Kuppisch, znowu rozpaczliwie zmagający się z rozkładanym stołem, rzucił ze złością: „Każda kobieta robi wszystko, żeby wyglądać młodziej, tylko moja chce się najwyraźniej postarzyć!”.

Gdy Heinz już się trochę pozbierał, wskazał na zabójczy azbest za kaloryferem i powiedział panu Kuppischowi: „Ciesz się, że jeszcze możesz ją taką widzieć, bo nigdy nie będzie miała tylu lat, na ile teraz wygląda. A nawet jeśli, to ty i tak tego nie dożyjesz!”.

Pani Kuppisch nie chciała o tym słuchać: — Heinz, daj już spokój, tylko straszysz Miszę!

* W przekładzie Krystyny Berwińskiej.

Micha zaprotestował: – Mamo, dlaczego ciągle nazywasz mnie *Misza*? Mam przecież na imię Micha!

– Co tam, nic ci to nie zaszkodzi. *Misza* to po rosyjsku, a ty przecież chcesz studiować w Związku Radzieckim!

– Ale z tego powodu nie musisz nazywać mnie *Misza*! Przecież ja nie mówię do ciebie *matuszka*.

– No i co z tego? Przecież to nic złego, jeśli wszyscy myślą, że jesteśmy przyjaciółmi Związku Radzieckiego – odparła pani Kuppisch.

– Ale mimo wszystko! Tylko nie *Misza*! To brzmi jak...

– Jak mysza – odpowiedział Heinz.

Sabine przerwała swoje próby *Makbeta* i zawołała z łazienki: – Mów na niego Miiisza, z ruusskiju duuszu – najbardziej rosyjsko jak umiała. – Jak Puuuszkina. Albo Czeeeechow.

– Odin, dwa, tri, my się zruszczyć nie damy! – odkrzyknął Heinz w stronę łazienki.

– Heinz! Nie przy chłopcu!

– E tam! – odparł Heinz. – Jeśli wy pod tym Iwanem nawet telefonu nie macie, to nie powinniście go wysyłać do Rosji! Jak będzie tam siedział w drewnianej chatce, otoczony przez wilki, to jak on ma wtedy do was zadzwonić?

Sabine właśnie wyszła ze swoim maszynistą z łazienki i susząc sobie włosy, od razu podjęła wątek: – My przecież nigdy nie dostaniemy telefonu.

– Moja fryzjerka właśnie dostała prywatny telefon, bo ma problemy z cukrem – powiedziała pani Kuppisch, co Heinz, niestety, opacznie zrozumiał.

– Potrzebujecie *cukru*? – zapytał ściszym głosem. – Mogę trochę przeszmugłować.

– Nie, ona ma cukrzycę, potrzebuje telefonu do tych tam spraw insulinowych.

— No to napiszę petycję! — oświadczył pan Kuppisch. Wyjął kartkę papieru, zdjął skuwkę z pióra. I na tym się zatrzymał. — Ale jaką my mamy chorobę?

Micha pomyślał: brakuje nam wszystkim piątej klepki.

— Zastanówcie się trochę — powiedział pan Kuppisch i zastukał w stół. — Czy nie mamy jakiejś choroby, która robiłaby wrażenie?

— Rak płuc — zaproponował Heinz.

— Nikt tu nie ma raka płuc! — odezwała się surowo pani Kuppisch. — Ale za to ja mam alergię na pyłki.

— Nic więcej? — zapytał maszynista.

— Nie, tylko alergię na pyłki — odparła pani Kuppisch.

— No to nie ma szans — powiedział pan Kuppisch ze smutkiem. — *Przecież wszyscy nie możemy być zdrowi!*

— To skandal! — zawołał Heinz. — W wolnym świecie alergicy mają swój własny serwis telefoniczny, a w komunizmie nie mogą nawet mieć telefonu.

— Co to za serwis? — zainteresował się pan Kuppisch.

— No, o tym, jakie pyłki akurat latają — wyjaśnił Heinz. — Topola czy lipa... To tak jak z miodem. Wy znacie tylko jeden miód, a u nas jest miód akacjowy, koniczynowy, z kwiatów leśnych...

— A u was ludzie są uczuleni tylko na jedne pyłki, a na inne nie? — zapytał pan Kuppisch z niedowierzaniem. Nigdy nie pomyślał, że zachodni indywidualizm może przejawiać się w tak wyrafinowany sposób.

— Właśnie tak — przytaknął Heinz.

Pan Kuppisch otworzył ze zdziwienia usta. — Patrzcie no tylko — powiedział do zebranych.

Na to odezwał się maszynista.

— Brecht albo Heiner Müller podeszliby do tego dialektycznie. Gdyby byli alergikami, napisaliby petycję i zażądałoby serwisu telefonicznego o pyłkach — nawet jeśli sami nie mają telefonu.

— No i co z tego? — zapytał pan Kuppisch rozdrażniony. — I co Brecht miałby z tego? Wtedy byłby serwis telefoniczny, ale on dalej nie miałby telefonu. I tyle mu przyjdzie z tej dialektyki.

— Nie do końca! — odrzekł triumfująco maszynista. — Gdyby już był serwis, Brecht napisałby kolejną petycję: *skoro* istnieje telefoniczny serwis pyłkowy, on musi dostać telefon!

— Ale dlaczego?

— No bo na co się przyda serwis pyłkowy, jeśli alergicy nie mają telefonu!

Wywody maszynisty były tak przekonywające, że nikt nie był w stanie zaoponować. W końcu pan Kuppisch powiedział z rezygnacją: — I tak tylko ci dostają telefon, co są w Stasi.

Podczas gdy sąsiedzi ze Stasi byli dla pana Kuppischa źródłem nieustającej irytacji, pani Kuppisch starała się zrobić na nich dobre wrażenie — jako matka rodziny o zawsze słusznych poglądach. Na przykład rzeczywiście zaprenumerowała „Neues Deutschland”, ale nie po to, żeby je każdego ranka czytać, tylko żeby każdego ranka mogło wystawać z ich skrzynki pocztowej. Napchała do niej tyle papieru śniadaniowego, że „ND” nie mogło się całe pomieścić. I w ten sposób każdy przechodzący obok skrzynek pocztowych w ich domu nieuchronnie musiał zobaczyć, że u Kuppischów czyta się „ND”.

Gdy zbliżał się kolejny festiwal młodzieży, pani Kuppisch zaskoczyła raz sąsiada ze Stasi na klatce schodowej, tak że wyglądało to na przypadkowe spotkanie.

— O, jak dobrze, że pana spotykam — wykrzyknęła pani Kuppisch. — Czy mógłby nam pan pożyczyć dwa materace dmuchane, na zakwaterowanie gości? Bo znowu będzie festiwal młodzieży.

Kluczowe słowa: *zakwaterowanie i festiwal młodzieży*, wypadły trochę kulawo, zaangażowanie pani Kuppisch w wielkie wspólne sprawy było dość świeżą sprawą. Natomiast słowa „materac dmuchany” wymawiała tak gładko (mteracmuchany), że każdy uważny słuchacz od razu mógł się domyślać, iż pani Kuppisch jest za pan brat z wyposażeniem do uciech plażowych. Nawet sama pani Kuppisch to zauważyła, i dlatego spróbowała jeszcze raz.

— Taki festiwal młodzieżowy to piękna sprawa — zawołała, gdy sąsiad bez komentarza zabrał się do wyciągania materaców. — Zwłaszcza dla młodych ludzi! Z tego powodu nawet w ciasnym mieszkaniu trzeba się jeszcze bardziej ścieśnić, nieprawdaż?

Pomyślała przy tym: tak, tak, zamelduj sobie, gdzie trzeba, jaką to jesteśmy porządną socjalistyczną rodziną. A głośno dodała: — Nasi goście na pewno będą się dobrze czuli u nas na kwaterze!

I gdy tak pani Kuppisch tworzyła kolejne zdania zawierające słowa *zakwaterowanie i festiwal młodzieży*, na schodach zjawili się Micha i Mario. Pani Kuppisch powitała syna tak, żeby słyszał to także sąsiad:

— Misza! Jak to dobrze, że już jesteś, obiad gotowy, dziś jest soljanka, twoje ulubione danie!

— Soljanka? — zareagował od razu Mario, a w jego oczach zapaliły gniewne iskierki. Micha poczuł, że matka go wrabia, przecież wcale nie był uwielbiającym soljanek Miszą, a już na pewno nie przed Mariem. „Najpierw Czerwony Klasztor, a teraz jeszcze opychasz się ruskim żarciem. Robi się z ciebie prawdziwy Rusek, prawdziwy czerwony palant!”

Od kilku dni Mario był niesłychanie rozdrażniony. Musiał pożegnać się ze swoimi długimi włosami. Setki razy przysięgał, że nigdy tego nie robi, a jednak zrobił.

Nie było nawet żadnych jawnych nacisków. Mario obciął włosy, bo chciał zdać na prawo jazdy na motorower, a trafił mu się osławiony egzaminator, który za punkt honoru postawił sobie oblać każdego, dosłownie każdego długowłosego. Jego metody nie były pozbawione złośliwości. Potrafił na przykład rozłączyć światło stopu i oblać długowłosego kandydata, jeśli ten przez jazdą nie sprawdził, czy pojazd jest w przepisowym stanie. Mario raz już oblał; posłali go na jazdę z zakręconym dopływem benzyny, tak że już po przejechaniu paru metrów rozkraczył się na środku skrzyżowania. I kiedy się dowiedział, że przy drugim podejściu będzie go egzaminował właśnie ten cieszący się ponurą sławą typ, dzień przed egzaminem, w ciemnej sieni, założył sobie na głowę kask motocyklowy i obciął wszystkie wyłazające spod niego włosy. Zdał, ale pod względem fryzury miał na razie przechlapane, i kiedy teraz spotkał na schodach matkę Michy, wołającą syna na soljankę, pani Kuppisch w pierwszej chwili go nie poznała. Tak samo zresztą jak i on jej. Pani Kuppisch ciągle wyglądała tak, jak gdyby postarzała się o dwadzieścia lat.

Kiedy Heinz złożył im kolejną wizytę, jego też z trudem można było rozpoznać. W ciągu dwóch tygodni schudł z 86 do 65 kilo. Nic nie jadł, „mniej niż w łagrze na Syberii!”, i jak oświadczył, codziennie ćwiczył z ciężarkami. „Więcej wypociłem niż w syberyjskich kamieniołomach!”. Zrobił się tak lekki, że nawet sprężyny wydawały inny odgłos, gdy zajmował miejsce w swoim fotelu.

— Heinz, ty biedaku, chudzinko, chodź tu, siadaj zaraz przy stole — powiedziała pani Kuppisch zatroskana, przeganiając pana Kuppischa, który znowu próbował się przysłużyć i już chciał rozłożyć stół.

— Heinz, może ty masz tasiemca? — zapytał Micha, przerażony widokiem wujka.

– Niece – odparł Heinz i zaczął się rozbierać. – Coś przemyciłem!

Pod garniturem, który zwisał na nim luźno, miał drugi garnitur – ten za to leżał jak ulał.

– To dla ciebie! – powiedział Heinz uroczyście do Michy. – Żebyś jakoś wyglądał w tej szkole tańca! A teraz porządnie się tu u was najem! – I zaśmiał się głośno.

– Załóż go, chcę zobaczyć, czy dobrze leży! – zawołał po chwili z pełnymi ustami. – Micha, nie możesz sobie wyobrazić, jak często przez ostatnie dwa tygodnie myślałem o tym, ...że znowu sobie napcham brzuch do syta, ...niech no tylko najpierw przeschmugluję twój garnitur!

Micha pokiwał głową. Nie miał serca powiedzieć Heinzowi, że mógł przewieźć garnitur legalnie. Nawet później, kiedy Heinz już dawno odzyskał swoje 86 kilo i jego stary garnitur znowu dobrze leżał, Micha nie omieszkał przy każdej okazji chwalić swego zachodniego wujka za ten legendarny przemyt.

Ale w ten sposób na balu końcowym w szkole tańca Micha miał nie tylko najpiękniejszą partnerkę, ale i najpiękniejszy garnitur. Był to tak fantastyczny model garnituru, że nawet z platformy widokowej nie było słycać żadnych drwin, gdy Micha wychodził z domu.

Miriam miała długą, granatową, aksamitną suknię, a Mario, Okularnik i Gruby też już dawno nie byli tak dobrze ubrani. Potem zresztą długo się to nie powtórzyło. Wyczyścili sobie nawet buty. I jeszcze raz na parkiecie zawirowało osiemdziesiąt wyczyszczonych butów, do tego buty pani Schlooth i obu pedziów turniejowych. Ale to Micha i Miriam byli parą wybranych, na którą kierowały się wszystkie spojrzenia. Micha był też najlepszym tancerzem. We wszystkich tańcach swobodnie prowadził Miriam po parkiecie i czuł, że ona coraz bardziej oddaje się w jego ręce – czuła się przy nim pewnie. Po raz pierw-

szy Micha miał poczucie, co jeszcze może oznaczać bycie mężczyzną, i miał odwagę być mężczyzną wobec kobiety. On, który zawsze nieśmiało uciekał spojrzeniem w bok, czuł tego wieczoru magiczne przyciąganie jej oczu. To było dla niego wielkie odkrycie: co można przeżyć dzięki samym tylko spojrzeniom.

Miriam z wielką przyjemnością patrzyła w oczy Michy, cieszyło ją też, że zdawał się nie dostrzegać niczego poza nią. Nie usłyszał też warkotu AWO, które zajechało i stanęło przed szkołą tańca. Akurat przy tangu, tańcu, który Micha umiał najlepiej. W tle, pod zdecydowanym rytmem znanej *La Cumparsity*, mruczał spokojnie i nieprzerwanie silnik AWO na jałowym biegu. A gdy taniec się skończył, Miriam pożegnała się. Powiedziała tylko: „Najlepiej skończyć, kiedy jest najpiękniej”, i została go. Wszyscy to widzieli i w tamtej chwili nikt nie chciałby się z Michą zamienić. A jeszcze przed chwilą był królem wieczoru. I kiedy Micha wreszcie się jakoś pozbierał, wybiegł za nią na ulicę i zawołał: „Nie, kiedy jest najpiękniej, można też zostać!”. Ale ona już odjeżdżała, mocno przytulona do kierowcy AWO. Z powodu długiej sukni musiała siedzieć po damsku i nie słyszała, że Micha coś do niej wołał.

Gdy Micha wrócił na salę taneczną, złamany człowiek, wszyscy stanęli dokoła i gapili się na niego. Zaczął się walc i Szrapnel już zaczęła sobie robić jakieś nadzieje. Ale Micha chwycił jednego z pedziów turniejowych i odtańczył z nim walca. Tylko jedną rundę, potem zostawił pedzia i wyszedł. Niektórzy twierdzili, że płakał, inni natomiast, że był cały czerwony i drżał. Ale jego walc był perfekcyjny. Micha nawet prowadził, tak dobrze już nauczył się tańczyć.

Parę dni później Micha znalazł w skrzynce list, bez nazwiska adresata, bez nadawcy, zaklejony tylko czer-

wonym serduszkim. Od razu otworzył kopertę, wyjął list i wychodząc z domu, zderzył się z posterunkowym. List wypadł mu z ręki, a ponieważ dzień był wietrzny, odleciał, porwany podmuchem. Micha chciał pobiec za listem, ale posterunkowy złapał go za kołnierz i zażądał dokumentów. List pofrunął w dal, na pas śmierci, gdzie zaplątał się w zaroślach. Ale tego Micha nie widział, odkrył to dopiero później, kiedy za pomocą lusterka przy-mocowanego do kija od szczotki zaglądał na pas śmierci. Nie mógł zapomnieć o tym liście i od tej chwili myślał tylko o jednym — jak go stamtąd wydostać.

To był pierwszy list miłosny, jaki Micha dostał, i musiał polecieć akurat na pas śmierci. Micha nie miał pojęcia, co było w nim napisane. Nie wiedział nawet, czy był od Miriam. Może to tylko Szrapnel go napisała. Albo pedzio, z którym Micha tańczył walca. A może ten list w ogóle nie był do Michy, tylko do jego siostry Sabine. Oczywiście, Micha oddałby wszystkie skarby świata, żeby to był list od Miriam. I przez następne tygodnie i miesiące wszystko kręciło się wokół listu. Musiał się do niego dostać, a nie chciał pod żadnym pozorem zapytać Miriam, ponieważ nie potrafiłby się przyznać, że jej list poleciał na pas śmierci. To było przecież idiotyczne, mogłaby się obrazić, myślał Micha. A jeśli to nie jest list od Miriam, a on ją o niego zapyta, ośmieszy się tylko: ubzdurał sobie, że mogłaby napisać do niego list miłosny.

Najpierw Micha próbował złowić list na wędkę. Pomagał mu Mario, który trzymał lusterko i kierował wędkę Michy tam, gdzie widział list. Nie używali haczyka, tylko gumki myszki, którą zanurzyli w kleju Kitfix. Wysmarowana klejem gumka powinna jedynie dotknąć listu, po czym Micha i Mario mieli odczekać parę minut, aż kitfix wyschnie i będzie można wyciągnąć list zza muru.

Mario nie był wcale zazdrosny, że Micha odniósł u Miriam taki sukces. U niego akurat też coś się „rozkręcało”: w windzie jednego z domów przy Leipziger Strasse poznał dziewczynę. Wyglądała tak, jak zawsze wyobrażał sobie paryżankę: miała rude włosy spływające spod beretu na ramiona, sweter z golfem, a pod pachą trzymała książkę Sartre’a. Była o kilka lat starsza od Maria, miała niewiele ponad dwadzieścia lat. Mario z Okularnikiem akurat znowu dyskutowali, jakie studia są niepolityczne lub raczej o tym, że *żadne* studia nie są niepolityczne. Nawet medycyna, bo w końcu lekarze też muszą się szczególnie starać, gdy jako pacjenci trafią im na stół oficerowie Narodowej Armii Ludowej. Gdy Mario i Okularnik wysiadali na szóstym, pożegnali czytelniczkę Sartre’a krótkim „Cześć”, na co ona rzuciła „Miłego wieczoru!”. I ostatnią rzeczą, jaką Mario zobaczył, był jej zagadkowy, obiecujący uśmiech za zamykającymi się drzwiami windy...

„Uśmiechała się jak Mona Lisa!”, powiedział Mario do Michy, gdy siedzieli pod murem. Micha prawie za-

pomniął o tym, że czekają na wyschnięcie kleju, do tego stopnia był zainteresowany dalszym rozwojem historii Maria i Mony Lisy z Leipziger Strasse.

Mario zdążył jeszcze zobaczyć, że nacisnęła trzynaste, i pognał schodami przeciwpożarowymi na górę. I gdy tak pędził, jakby się paliło, cieszył się, że pięter było tylko trzynaście, bo Okularnik mu opowiadał, że te wieżowce na Leipziger Strasse wybudowano po to, żeby zasłonić widok na budynek koncernu prasowego Springera. Okularnik był dobrze zorientowany w tych sprawach. Wieżowiec Springera stał tuż przy murze po zachodniej stronie i gdyby był wyższy, Mario miałby pecha i musiałby biec jeszcze wyżej. Ale zanim zdążył poświęcić tej sprawie więcej myśli, dotarł na trzynaste piętro i rzucił się szczupakiem z klatki schodowej na korytarz. Wydało mu się, że w końcu korytarza zamknęły się akurat drzwi... Po chwili znowu się otworzyły, stanęła w nich dziewczyna z windy i uśmiechnęła się do Maria. Znow uśmiechała się jak Mona Lisa. Mario pozbierał się jakoś i podszedł do niej kompletnie wyczerpany. W oczach robiło mu się ciemno, nie mógł złapać oddechu.

— I co jej powiedziałaś? — zapytał Micha, który bardzo dobrze mógł wczuć się w tę sytuację.

— Powiedziałem: czy znasz jakiś niepolityczny kierunek studiów?

Zamiast odpowiedzi dziewczyna z windy uśmiechnęła się jeszcze raz, a Mario odezwał się wtedy: „Uśmiechasz się jak Mona Lisa”. Dziewczyna spokojnie przyjęła ten komplement. Powiedziała: „Może dlatego, że jestem malarką”, i zaprosiła Maria do środka. Mieszkanie przypominało raczej jaskinię, na ścianach wisiały ogromne obrazy, pełno było własnoręcznie wykonanych fantazyjnych lamp.

Gadali cały wieczór i całą noc. Rozmowa zaczęła się od zaimprovizowanego pytania Maria o niepolityczne kierunki studiów, a potem przeszła w pierwszą lekcję egzystencjalizmu. Znajoma z windy tylko uśmiechała się jak Mona Lisa – a tak naprawdę była w każdym calu egzystencjalistką. Nikt nie musi robić czegoś, czego nie chce robić, przekonywała Maria Egzystencjalistka. Każdy ponosi za siebie odpowiedzialność i jest sam winny swojemu nieszczęściu. Ponieważ zawsze masz swobodę wyboru, mówiła, i nie możesz nikogo obwiniać za to, co sam robisz. Dla Maria było to coś całkowicie i absolutnie nowego... To było takie inne i takie WIELKIE. Tu naprawdę chodziło o wolność, o coś wyjątkowego, o wszystko. I gdy Mario zobaczył, jak osoba, której okna wychodziły na pas śmierci, śpiewa pieśń na cześć wolności, jak ją wręcz zaklina, nie tylko mu to zaimponowało, lecz zmieniło jego życie. Przez cały wieczór Edith Piaf śpiewała *Non, je ne regrette rien*, wciąż i wciąż od nowa. Jesteśmy skazani na wolność, wykrzyknęła Egzystencjalistka, odkorkowując trzecią butelkę bärenbluta, którego etykietkę zakleiła własnoręcznie wykonaną nalepką Chateau Lafitte. Mario zapytał, czy są skazani na to, żeby wiecznie słuchać tej piosenki. Tak, odparła Egzystencjalistka, bo po pierwsze adapter sam się nie wyłączy, a po drugie wszystko będzie trwało w nieskończoność, dopóki ty sam się nie podniesiesz.

Wstała i wyrzała przez okno, za którym łukowe lampy oświetlały pas śmierci. Wypiła już więcej niż butelkę wina. „Jesteśmy skazani na wolność”, powiedziała. „Wiesz, co to oznacza dla muru? Co powiedziałby Sartre na temat muru berlińskiego?”

Mario nie był jeszcze na tyle zorientowany w egzystencjalizmie, więc próbował zgadywać: „Że kiedyś będę mógł wyjechać na Zachód?”

– Nie – odparła – coś wprost przeciwnego.

– Że *nigdy* nie będę mógł wyjechać na Zachód? – zapytał Mario.

– Że on kiedyś przestanie istnieć – odrzekła Egzystencjalistka, a dla Maria było to coś niesłychanego, coś, co przekraczało możliwości jego wyobraźni. Nigdy mu nawet przez myśl nie przeszło, że muru mogłoby nie być. Egzystencjalistka zatrzymała Edith Piaf i puściła *Je t'aime* – wiedziała, czego chce. Od tej chwili mówiła już tylko szeptem. „Uwalniasz się, kiedy uwalniasz też innych”, powiedziała i zaczęła uwalniać Maria i siebie z ubrań. „Rozumiesz, co Jean Paul chce przez to powiedzieć?”. Tego Mario nie rozumiał, ale pojmował parę innych rzeczy. Zaczęli o wpół do pierwszej i około piątej skończyli – to był prawdziwy egzystencjalistyczny numer. Gdy Mario obudził się następnego ranka, Egzystencjalistka siedziała na brzegu łóżka, była naga, miała tylko swój beret na głowie i uśmiechała się do Maria: – No co, rozdziwiczylaś mnie?

Ze wszystkich chłopaków spotykających się na placu Mario jako pierwszy był w łóżku z kobietą. Micha chciał wszystko dokładnie wiedzieć. Jak się to robi, jak to jest i w ogóle. Mario wstał, żeby mu pokazać: zaczął poruszać biodrami tak samo, jak ostatniej nocy. Micha też się podniósł i spróbował go naśladować. „Czy tak?”, zapytał. I tak stali koło siebie, i każdy kopulował w powietrzu, aż Micha zapytał: „I jak długo tak trzeba?”.

Gdy Mario skończył opowiadać tę historię, kitfix dawno już zdążył wyschnąć. A ponieważ to, o czym opowiadał, zdarzyło się zaledwie poprzedniej nocy, Mario był tak zmęczony, że widoczną w lusterku białą reklamówkę wziął za list. I gdy Micha wreszcie wyciągnął wędkę spoza muru, a na gumce była przyklejona plastikowa reklamówka, klasy zachodnich gimnazjalistów za-

częły wykrzykiwać z platformy widokowej: „Gratulacje, dederony, główna nagroda! Reklamówka z Zachodu!”.

Trzy tygodnie później Mario i Micha zostali wezwani do Erdmute Löffeling. Nie mieli pojęcia z jakiego powodu. Nie oznaczało to nic dobrego, zwłaszcza że siedział tam jeszcze jakiś facet, którego nie znali. Erdmute Löffeling, potrząsając głową, kartkowała jakąś zachodnią popołudniówkę i co chwila wzdychała głęboko lub nawet cicho pojękiwała. Mario i Micha nie rozumieli, po co mają się przyglądać dyrektorce, która ogląda zachodnie gazety. Wreszcie obcy facet zaczerpnął powietrza i powiedział zmęczonym głosem: „Jest to jeden z nieprzyjemnych obowiązków sekretarza komitetu rejonowego SED – regularne czytanie wrogiej prasy”. Tu zrobił przerwę, żeby Mario i Micha mogli ocenić znaczenie i wagę wypowiedzianych przez niego słów. I rzeczywiście, Mario wykazał się zrozumieniem, mówiąc z westchnieniem: „No tak, to może są przykre strony tej w gruncie rzeczy raczej przyjemnej pracy”. Powiedział to tak prostodusznym tonem, że sekretarzowi SED nawet przez myśl nie przeszło, że Mario mógł się z niego nabijać. Ale gdy potem sekretarz pokazał chłopakom gazetę, nagle odebrało im mowę. Od razu pojęli, o co chodziło. Micha poczuł strach. Gdy podniósł wzrok znad gazety i spojrzał w kamienną twarz Erdmute Löffeling, bał się jej tak bardzo, że dyrektorka zamieniła się w potwora: jej głowa wydała mu się o wiele większa niż kiedykolwiek przedtem.

Jeszcze się nie zdarzyło, żeby nie potrafił wyjść obronną ręką z różnych afer. Już od trzeciej klasy Micha nie dawał się więcej wrabiać. Wtedy pewnego razu na lekcji pojawiła się nagle Erdmute Löffeling, napisała na tablicy WIETNAM, a nauczycielka wywołała Michę do katedry. Miał pokazać na globusie, gdzie mieszkają dzieci, którym szczególnie źle się dzieje. Micha domyślił się, że

zbliża się akcja składek solidarnościowych, ale nie miał najmniejszej ochoty znowu zajmować się zbieraniem złomu i makulatury. I dlatego pokazał Stany Zjednoczone. Jak Erdmute Löffeling mogła temu zaprzeczyć? Czyż miała powiedzieć: „Nie, dzieciom w USA jest bardzo dobrze”? „Tak, ale gdzie jeszcze?”, zapytała. „RFN”, powiedział Micha, i również w tym przypadku Erdmute Löffeling była bezsilna. „No tak, i gdzie jeszcze?”, pytała dalej. „No, w ogóle w kapitalizmie”, odparł Micha. „A co z Wietnamem?”, zapytała Erdmute Löffeling dziewięcioletniego Michę, który odpowiedział: „W Wietnamie dzieciom jest o wiele lepiej, ponieważ wietnamskie dzieci cieszą się na myśl o rychłym wyzwoleniu, o które walczy ich niezwykły naród!”.

W gazecie, którą podsunął im sekretarz partii, Micha i Mario zobaczyli zdjęcie, na którym obaj patrzą prosto w obiektyw szeroko otwartymi oczami, a ręce wyciągają przed siebie w żebraczym geście. Zostali świetnie uchwyteni, a to już samo w sobie pełne wyrazu zdjęcie zostało opatrzone podpisem: *Nędza na Wschodzie — jak długo jeszcze naród będzie to znosił?*

Przedstawiciel partii i Erdmute Löffeling w milczeniu długo świdrowali Michę i Maria ciężkimi, karzącymi spojrzeniami. Micha odchrząknął niepewnie i z nagłym przyływem poczucia godności, niemal z oburzeniem, oświadczył: „Patrzcie no tylko!”. Zrobił krótką pauzę dla zwiększenia efektu i mówił dalej, przy czym ponosiło go coraz bardziej: „Patrzcie no tylko, jak oni kłamią! To, że muszą uciekać się do takich kłamstw, pokazuje tylko, że już naprawdę gonią w piętę. Chciałbym widzieć jeszcze więcej takich kłamstw! Bo im ohydniejsze kłamstwa, tym przypartszy do muru jest przeciwnik”.

Micha wiedział, jak w pewnych sytuacjach wywalczyć sobie swobodę manewru. Funkcjonariusz partii okazał

nawet pewną przychylność dla jego argumentów. To wprawdzie przykre, że przez tego chłopaka gazety wypisują takie rzeczy, ale za to jego analiza — można jej tylko przyklasnąć. *Im ohydniejsze kłamstwa, tym przypartszy do muru jest przeciwnik*. Erdmute Löffeling zakwestionowała wprawdzie formę stopnia wyższego, ale Micha już rozpędził się na dobre: „Kiedy kłamstwa stają się najohydniejsze, wtedy wróg jest najprzypartszy do muru”. Sekretarz partii zaczął już wyobrażać sobie przyszłość Michy — przecież Karl-Eduard von Schnitzler* kiedyś musi pójść na emeryturę. Na razie Micha został skazany na wygłoszenie referatu o dźwięcznym tytule: *Kłamstwo i wróg a walka klasowa*. Miał w nim zawrzeć osobiste przeżycia i następnie poprzez analizę dojść do uogólniającego morału.

Tak więc Micha jak zwykle znowu wykręcił się sianiem, a sekretarz zdążył już zamknąć gazetę z obciążającym zdjęciem i nawet skinął przyjaźnie, gdy nagle odezwał się Mario. Przekornie rzucił: „Głód wolności jest większy niż głód chleba! Tak powiedział Sartre! A może Mahatma Gandhi? Albo głód praw człowieka?”. Z podniecenia wszystko mu się pomieszało, ale wiedział, czego chce: chce opowiedzieć się po stronie wszystkiego, co jest wyklęte — Sartre’a i Gandhiego, wolności i praw człowieka. Te słowa były do tego stopnia wyklęte, że Mario nie miał prawa ich znać, a co dopiero wypowiadać na głos... Micha próbował zapobiec najgorszemu, mówiąc, że Mario miał, oczywiście, na myśli *tak zwaną* wolność i *tak zwane* prawa człowieka. Na próżno. Sekretarz partii odezwał się lodowatym tonem: „Jeśli twój tak zwany przyjaciel nie przyjdzie do tak zwanego opamię-

* Autor telewizyjnego programu propagandowego w NRD, szkalującego Niemcy Zachodnie.

tania, to spotka go tak zwane wyrzucenie ze szkoły!”. A Mario krzyknął: „Ale ja nie przyjdę do tak zwanego opamiętania!”.

Potem pojawiło się jeszcze jedno słowo, którego nikt nie znał: relegacja. Nawet Okularnik nigdy wcześniej go nie słyszał. Ale i tak wszyscy od razu zrozumieli, o co chodzi. Nikt jednak nie chciał go używać. Brzmiało tak zimno i bezlitośnie. Brzmiało jak coś, przed czym nie można się obronić.

Okularnik nie miał serca powiedzieć Mariowi, że właśnie odkrył kierunek studiów, który uważał za całkowicie niepolityczny. Dopiero parę tygodni później odważył się go zapytać, czy w studiowaniu stomatologii można się dopatrzeć czegoś politycznego. Mario zastanawiał się dwie sekundy, by w końcu przyznać rację Okularnikowi: stomatologia nie jest polityczna. „Ale czy ty poważnie masz zamiar grzebać w gębach obcych ludzi tylko dlatego, żeby mieć spokój?”.

Egzystencjalistka pocieszała Maria. Znowu cały wieczór słuchali *Non, je ne regrette rien*. „Czy wiesz, co ona tu śpiewa?”, zapytała Egzystencjalistka. „Śpiewa: nie, niczego nie żałuję”. Czasami też mówiła: wielcy ludzie zawsze byli wyrzucani ze szkoły. Mario uważał jednak, że wyrzucenie ze szkoły nie uczyniło go jeszcze wielkim człowiekiem, czemu Egzystencjalistka nie mogła zaprzeczyć. „Ale to już jest początek”.

I tu miała rację. Dla Maria zaczął się teraz najpiękniejszy okres jego życia. Każdego ranka mógł zdławić budzik i spać sobie dalej, miał dziewczynę, a nie miał nikogo, kto by nim dyrygował. Tego wprowadzie egzystencjaliści nie mają nigdy, ale Mario nie miał nawet nikogo, kto *próbowałby* nim dyrygować. Mario i Egzystencjalistka zostali parą jak z marzeń. Robili wszystko, co inni zawsze tylko chcieli robić. Przy pięknej pogodzie jeździli się kąpać, gdy

pogoda była brzydka, urządzali sobie bitwy na poduszki. Czasami przy śniadaniu karmili się nawzajem z zamkniętymi oczami. Już nigdy nie szli w pojedynkę do łóżka, nawet nie chodzili sami pod prysznic! I czasami mawiali: tak musiało być w raju. Dużo czytali i dyskutowali na temat Biblii i innych religii świata (przy czym zawsze najlepiej wypadał buddyzm), o Zygmuncie Freudzie, Fryderyku Nietzsche, Lwie Trockim i Rudolfie Steinerze (przy czym najlepiej wypadał tu Jean Paul Sartre). Eksperymentowali z jedzeniem, wymyślali nowe przepisy, piekli własny chleb albo robili głodówki.

Egzystencjalistka zapaliła się do pomysłu przeniesienia się na brandenburskie odludzie, gdzie mieliby na przemian czytać i filozofować. Chciała położyć się w beczce, jak Diogenes, na całe lato. Beczkę wytoczyła potajemnie z tunelu, którym zaopatrywano berlińską Halę Targową. Na rozpoczęcie swojego leżenia w beczce wybrała dni Zielonych Świątek, żeby uciec przed festiwalem młodzieży, który akurat wtedy odbywał się w Berlinie. Gdy na brzegu jeziora Stechlin wpełzała do beczki, miała ze sobą cały stos książek, pełno filozofów i Wilhelma Tella Schillera. Ale już po czterech godzinach miała dość leżenia w beczce, było jej niewygodnie. „Gdybym mogła o coś prosić Aleksandra Wielkiego, to nie powiedziałabym: Nie zasłaniaj mi słońca, tylko: Daj mi pod tyłek poduszkę!”.

Mario i Egzystencjalistka wrócili więc do Berlina i dowiedzieli się, co przegapili. Gdyż podczas festiwalu młodzieży doszło do wypadku, o którym jeszcze długo mówiło się w Alei Słonecznej.

Goście, którzy nocowali u państwa Kuppischów na materacach dmuchanych pożyczonych przez panią Kuppisch od sąsiada ze Stasi, pochodzili z Saksonii, z miasta Pirna koło Drezna. Było ich dwóch: „ten Olaf” i „ten Udo”. Z zasady dodawali zaimek wskazujący przed każdym imieniem. I tak, zanim rodzina Kuppischów się domyśliła, wszyscy byli przekonani, że dziewczyna Olafa ma na imię Tatiana, choć naprawdę miała na imię Diana; ale Olaf i Udo mówili o niej zawsze *ta Diana*. Nie były z nich najbystrzejsze chłopaki. Może brało się to stąd, że pochodzili z *Doliny Nieświadomych*, czyli okolicy, gdzie nie można było odbierać zachodniej telewizji. Gdy zobaczyli tuż pod oknem mur, zapytali, czy tam leży Berlin Zachodni, a pani Kuppisch z westchnieniem potwierdziła: „Niestety tak”. Olaf i Udo rozdziawili ze zdziwienia gęby, aż w końcu jeden z nich oświadczył: „My byśmy tak nie mogli, takie życie w ciągłym zagrożeniu”. Zaś drugi zauważył, że „tam przy tej ichniej przystympczości” może się zawsze trafić jakaś zbląkana kula. Pani Kuppisch znowu westchnęła: „Tak, ale nawet do tego człowiek może się przyzwyczać”. Nie miała ochoty więcej im tłumaczyć. Ale gdyby trochę bardziej się nimi zainteresowała, nie doszłoby może do owego nocnego wypadku na granicy, kiedy Udo i Olaf sparaliżowali cały ruch samochodowy na przejściu granicznym. Kuppischowie byli później wzywani „w celu

wyjaśnienia okoliczności zajścia” na komendę. „Nie muszą mi opowiadać tych bajeczek!”, krzyknął z wściekłością pan Kuppisch, gdy przeczytał wezwanie. „To przecież Stasi!”. Pani Kuppisch była bliska załamania nerwowego. „Ja ich po to przyprowadziłam do domu, żeby Micha mógł pójść do Czerwonego Klasztoru!”, tłumaczyła się. „Ale skąd mogłam wiedzieć...”.

Nie, nikt przecież nie mógł wiedzieć, że Olaf i Udo zechcą rozpętać światową rewolucję komunistyczną. Postanowili, że będą agitować wszystkich zachodnioniemieckich kierowców na przejściu granicznym przy Alei Słonecznej, żeby tamci, przepelnieni zachwytem dla socjalizmu, zrobili rewolucję w Berlinie Zachodnim. Olaf i Udo byli do tego stopnia przekonani o powodzeniu swojego przedsięwzięcia, że się założyli i postavili całe dwadzieścia marek na światowe zwycięstwo komunizmu w ciągu najbliższych dziesięciu dni. Problem polegał tylko na tym, że cały plan powstał pomiędzy jeden koma dwa a jeden koma sześć promila. Olaf i Udo siedzieli ze swoją delegacją okręgową na „błoniach parkowych”, uderzali w gaz i dyskutowali ogólnie o polityce i szansach na zwycięstwo światowej rewolucji komunistycznej. „Gdy ludzie pracy dowiedzą się, jak naprawdę u nas jest..., powstaną przeciwko systemowi wyzysku!”, wykrzykiwali Olaf i Udo. I gdy jeden z nich już zaczynał bełkotać, a drugi zezować, ruszyli w stronę przejścia granicznego przy Alei Słonecznej, zaczęli zatrzymywać szykowne mercedesy, kazali kierowcom wysiadać i zajmowali się, według swoich wyobrażeń, agitacją. Wychwalali przed ludźmi z Zachodu błogosławieństwa socjalizmu.

„BEZPŁATNE SZKOLNICTWO!”

„BEZPŁATNA SŁUŻBA ZDROWIA!”

„STABILNE CENY!”

Nawet im samym wydawało się to trochę dziwaczne i mieli już zamiar dać sobie spokój, ale gdy do okrzyku Olafa „NISKIE CZYNSZE!” kierowca jednego z mercedesów przekornie dorzucił: „W mikroskopijnych mieszkaniach!”, postanowili podjąć bardziej zdecydowane kroki. Wszyscy, którzy chcieli jechać z powrotem na Zachód, zostali zmuszeni do śpiewania pieśni bojowych. Olaf śpiewał pierwszym głosem i cierpliwie dyrygował, a Udo utykał papierowe chorągiewki na gwiazdkach mercedesów. Około północy chór złożony z dziesięciu mieszkańców Berlina Zachodniego wyśpiewywał *Avanti Popolo*, wymachując do taktu chorągiewkami NRD. Ale gdy po tej bojowej pieśni Olaf zaczął mówić o rewolucji, jeden z kierowców wszedł mu zdecydowanie w słowo: „Ludzie, ja jestem bardzo za rewolucją. Ale jak zobaczyłem ten wasz warzywniak, tam na rogu, to mi cały zapach rewolucyjny opadł. Tak, tak, wiem, macie w sprzedaży włoszczyznę przez cały rok. Wspaniale!”. Wkrótce pojawiło się dwóch sanitariuszy, ubrali Olafa i Udo w kaftany bezpieczeństwa i gdzieś zawieźli.

Jak zwykle bywa, wydarzenie to miało swoje następstwa. Rodzina Kuppischów została wezwana na komendę „w celu wyjaśnienia okoliczności zajścia”. Ale nie przypisywano im żadnej winy za to, co się stało, mimo iż Olaf i Udo mieszkali u nich na kwaterze. Pani Kuppisch mogła dalej mieć nadzieję, że Micha zostanie przyjęty do Czerwonego Klasztoru. Ale sekretarz partii, który wyrzucił Maria ze szkoły, chciał pokazać „naszym mieszkańcom Alei Słonecznej”, że z takich wypadków też są wyciągane wnioski. I nagle warzywniak na rogu zrobił się bardzo dobrze zaopatrzony. Sekretarz zrozumiał, że pierwszą i ostatnią rzeczą, jaką zachodni obywatel widzi w NRD, jest warzywniak ze swoją przygnębiającą ofertą. *Włoszczyzna przez cały rok*. Cios okazał się celny.

Więc na Wschodzie miał być *jeden* taki sklep z warzywami, jak za granicą, a w dodatku miało tam być taniej. Sekretarz osobiście zajął się tą sprawą i poświęcił jej tyle energii, że już nie był w stanie czytać wrogiej prasy. W ciągu paru tygodni oferta starego poczciwego warzywniaka wzbogaciła się niesłychanie. Zdarzyło się jednak coś, o czym nikt nie pomyślał. Szybko się rozniosło, że przy krótszym końcu Alei Słonecznej jest fantastyczny warzywniak. Działo się to jakby samo z siebie, bo zdanie: „Byłem na zakupach”, na które należało odpowiedzieć: „I co, dawali coś?”, stało się niemal formułą powitalną. W ciągu paru dni warzywniak w Alei Słonecznej stał się sławny, wręcz legendarny. Ustawiała się przed nim kolejka, która robiła się coraz dłuższa i dłuższa. Tak więc pierwszą i ostatnią rzeczą, jaką obywatele z Zachodu widzieli w NRD, była ogromna, długa kolejka... Nie, nie tak sekretarz partii sobie to wyobrażał. Od razu kazał zamknąć sklep i zaczął się zastanawiać, jakie artykuły są dostępne tylko w NRD. Coś takiego, pomyślał sobie, trzeba sprzedawać w tym warzywniaku. W śmiałych marzeniach funkcjonariusz partii widział już masy, całe tłumy mieszkańców Berlina Zachodniego ustawionych w kolejkę przed warzywniakiem. W końcu przyszedł mu do głowy pewien pomysł, ale na razie trzymał go w tajemnicy.

Zacząła się przebudowa sklepu, okna wystawowe zasłonięto płachtami i nikt w Alei Słonecznej nie wiedział, co ma tam być. Oczywiście krążyły różne plotki. Sklep, w którym będą sprzedawać towary, jakich nie ma na Zachodzie — co to może być? W końcu zwyciężyła pogłoska, że będą to dobra eksportowe: gitary, drewniane ozdoby bożonarodzeniowe, piwo Wernesgrüner...

Z okazji otwarcia sklepu w Alei Słonecznej było czarno od ludzi, którzy przyszedli tu pełni nadziei i zaopatrzone

ni w dużą ilość gotówki. Wreszcie odsłonięto okna wystawowe i wszyscy zobaczyli czerwone sztandary, flagi NRD, portrety Honeckera, pierwszomajowe goździki, koszule FDJ, pionierskie bębniaki i odznaki. Wszystko w dowolnych rozmiarach i odmianach. Jeszcze tego samego dnia wpłynęło siedem wniosków o pozwolenie na wyjazd z kraju. „Ciagle ci tylko wodę wyłączają, kupić nic się nie da, wszędzie tylko te czerwone szmaty”, narzekał jeden z wnioskodawców, motorniczy, tak samo jak pan Kuppisch.

W rzeczywistości sklep miał całkiem niezłe obroty, zwłaszcza w późniejszych latach, kiedy kwota obowiązkowej wymiany była tak wysoka, że Niemcy Zachodni nie byli w stanie wydać swoich enerdowskich marek. Wielu korzystało więc z ostatniej okazji pozbycia się tej waluty i kupowało papierowe chorągiewki oraz inne dziwaczne rzeczy. Sklepowa z warzywniaka bardzo sprytnie to rozgrywała: „Za dwa trzydzieści mogę dać panu sto papierowych chorągiewek. Nieee, taka koszulka FDJ kosztuje osiem pięćdziesiąt, ale jak panu brakuje, może pan dołożyć w zachodnich”. Zachodnią walutę zatrzymywała dla siebie, a do kasy dokładała z własnej portmonetki. W jeden dzień mogła tak uzbierać dziesięć marek zachodnich, a przez miesiąc, czy też rok, wychodziła z tego niezła sumka. Sklepowa z warzywniaka została *grande dame* Alei Słonecznej, pachniała Paryżem, malowała się jak królowa, a jej ramiona otulały błyszczące jedwabne szale. Wiedziała, że jest dobrą partią, bo kto ją poderwie, będzie mógł kupować w Intershopie narzędzia firmy Black and Decker. Ciagle miała figurę handlarki z targu, sprzedawała papierowe chorągiewki i portrety Honeckera, ale w sklepie zachowywała się, jakby pracowała w najwytworniejszym salonie jubilerskim. Poza tym jeszcze jedna rzecz była niepojęta: mimo iż

sklep był pełen flag, szturmówek i chust pionierskich, ludzie z krótszego końca Alei Słonecznej dalej nazywali go warzywniakiem, a ona pozostała sklepową z warzywniaka.

Dzisiaj pan Kuppisch często mawia: „Lata NRD to było jedno wielkie święto strzeleckie, a każdy strzał był niewypałem”. I żeby wyjaśnić, co ma na myśli, opowiada zawsze historię warzywniaka przy Alei Słonecznej. Pewnego dnia rodzina Kuppischów przyjęła na kwaterę dwóch Saksończyków, żeby Micha mógł pójść do Czerwonego Klasztoru.

Gdy rodzina Kuppischów została wezwana na komendę „w celu wyjaśnienia okoliczności zajścia”, Michę wypuszczono do domu jako ostatniego. To było jego pierwsze aresztowanie, choć tak naprawdę nie został wcale aresztowany. I kiedy szedł ze stacji Baumschulenberg w stronę Alei Słonecznej, miał nadzieję, że spotka Miriam, ale, niestety, tym razem się nie pojawiła. Micha często chodził z Miriam Baumschulenstrasse ze stacji do domu przy Alei Słonecznej. Zawsze postanawiał sobie, że będzie szedł tak wolno, jak się tylko da, żeby spędzić z nią jak najwięcej czasu, ale za każdym razem był tak ożywiony i uradowany, że z zaplanowanej spokojnej przechadzki nie wychodziło nic. Chciał też bardzo, żeby choć raz w obecności Miriam skontrolowano mu dokumenty – mogłaby wtedy zobaczyć, że Micha jest na bakiery z prawem, ale posterunkowy zostawiał go zawsze w spokoju, gdy był w jej towarzystwie. Na szczęście nigdy też nie podjeżdżał do Miriam motocykl AWO, żeby ją uprowadzić. I gdy Micha i Miriam dochodzili do miejsca, gdzie Baumschulenstrasse krzyżuje się z Aleją Słoneczną, rozdzielali się; on szedł na stronę ulicy z numerami parzystymi, ona – nieparzystymi.

Podczas tych przypadkowych spotkań Micha nigdy nie zdołał się dowiedzieć, czy list miłosny, który leżał w pasie śmierci, wysłała Miriam. Nie wiedział, jak ma zapytać, żeby się nie ośmieszyć. I oczywiście czekał na

obiecane go całusa. Czekał, jak rolnik wygląda deszczu. Pewnego wieczoru spotkał ją po drodze do domu i pomyślał, że teraz już czas najwyższy. A był to ostatni przed wakacjami dzień szkoły i obydwójce mieli wkrótce wyjechać: Micha nad Bałtyk, a Miriam w Tatry. Miriam roześmiała się – rok wcześniej ona była nad Bałtykiem, a Micha w Tatrach. Był to piękny i ciepły letni wieczór, powietrze było jak aksamit, wszystko wokół tchnęło spokojem, ale kiedy ich drogi miały się rozjeść, nic nie wskazywało, żeby Miriam myślała o pocałowaniu Michy. „Pamiętam, że mi coś obiecałaś!”, poskarżył się Micha. „Tak”, odparła spokojnie. „Ale powiedziałam wtedy: kiedyś”. Micha z trudem przełknął ślinę. „To w takim razie mogę czekać całą wieczność!”, wykrzyknął zrozpaczony. „No i co w tym złego?”, zapytała Miriam, niewinnie jak baranek. „Wtedy masz przynajmniej na co się cieszyć. Jeśli wiesz, że kiedyś cię pocałuję, możesz się już nigdy nie smucić”.

Potem poszła do domu. Micha rozmyślał o tym zdaniu przez całe lato i doszedł do wniosku, że nie doceniał Miriam. Tak samo jak inni, którzy myśleli, że jest naiwna, tylko dlatego, że była tak porażająco piękna. *Jeśli wiesz, że kiedyś cię pocałuję, możesz się już nigdy nie smucić.* Kto mówi coś takiego, ten musi dużo wiedzieć o czekaniu, tęsknocie i nadziei – czyli o sprawach, którym poświęcamy prawie cały nasz czas. Micha zrozumiał, że jeśli chce coś znaczyć dla Miriam, musi stać się bardziej dojrzały. Przypomniawszy sobie, że nigdy przedtem nie czuł się taki dojrzały, taki dorosły i męski, jak na końcowym balu w szkole tańca. I nagle myśl o tym, żeby zasłużyć sobie na jej szacunek przez kontrolę dokumentów, czy żeby żarliwie wyczekiwać na jej pocałunek, wydała mu się bardzo dziecinna. Albo żeby udawać kogoś, kim nie jest. Micha poczuł, że musi *dorosnąć* do pocałunku,

który Miriam mu obiecała. Nie wiedział dokładnie, na czym to miało polegać, ale rozumiał, że nie będzie to łatwe i nie może nastąpić z dnia na dzień. Ale, jak powiedziała Miriam, zawsze będzie miał na co się cieszyć. I rzeczywiście się cieszył.

Oferma w azjatyckim stepie

Pewnego razu, kiedy Heinz znowu przechodził na wschód, pogranicznik podprowadził go w zaufaniu do białej linii, którą oznaczona była granica. Linia była akurat świeżo odnowiona i pogranicznik zdradził Heinzowi szeptem, że nowa kreska została przesunięta dziesięć centymetrów dalej na zachód. Wyliczył też nawet, że trzeba tylko odnawiać linię co dwa lata i przesuwać ją przy tym za każdym razem o dziesięć centymetrów, a za siedemdziesiąt milionów lat blok wschodni sięgnie wybrzeży Atlantyku, „a jeśli będziemy linię odnawiać każdego roku, osiągniemy to dwa razy szybciej”. Heinz nie wiedział, co ma na to powiedzieć, tak samo jak chwilę później, gdy pogranicznik zaczął go pocieszać: „Niech się pan nie boi, już my was stamtąd wyciągniemy”.

Nie mieliśmy wtedy paszportów, na granicy musieliśmy okazywać dowód osobisty ze świstkiem „Załącznik do bezwizowego ruchu turystycznego”. Taki załącznik dostawała większość ludzi, ale nie wszyscy. Egzystencjalistka została kiedyś przyłapana, jak na Targach Książki w Lipsku próbowała ukraść zachodnie kieszonkowe wydanie esejów Simone de Beauvoir, co przypuszczalnie było powodem zakazu wyjazdów następnego lata. Szczególnie źle wyszedł na tym Mario, który już specjalnie obciął włosy, bo słyszał, że długowłosych nie puszczają nawet do krajów bloku wschodniego. No i teraz dostał

wprawdzie niezbędne papiery, ale ona nie dostała, a Mario znowu miał przechlapane pod względem fryzury.

Sabine miała raz Aktualnego, który był wspinaczem. Miał na imię Lutz. Lutz miał swoje specjalne metody przekraczania granic bez czekania siedemdziesiąt milionów lat czy o połowę krócej. Kiedy Lutz i Sabine pakowali plecak na wyjazd na Syberię, rodzina Kuppischów wraz z wujkiem Heinzem miała okazję wysłuchać wykładu Lutza na temat jego sposobów odbywania dalekich podróży bez paszportu. Pan Kuppisch nie wierzył, że pojedą do Związku Radzieckiego, o Syberii już nie mówiąc – tam można było pojechać jedynie w ramach turystyki zorganizowanej, tylko jako *grupa*. U Rosjan nawet samo pojęcie *turystyka indywidualna* jest nie do pomyślenia. „Możesz sobie pisać tyle petycji, ile chcesz!”.

Na to Lutz, przewracając tajemniczo oczami, powiedział tylko dwa słowa, ale wymówił je jak czarodziejskie zaklęcie: „Wiza tranzytowa”. I po efektownej pauzie wytłumaczył: „A jak już raz wjedziesz, to tam siedzisz”.

Heinz zaczął dumnie wymachiwać swoim paszportem:

– Z tym mogę się poruszać po całym świecie jako wolny człowiek.

Lutz prychnął pogardliwie – uważał paszporty za drobnomieszczactwo. Sabine oświadczyła z dumą, że Lutz był już nawet w Mongolii – i w Chinach! Pani Kuppisch, normalnie uosobienie ostrożności, nagle bardzo się zainteresowała i poprosiła o dokładne wyjaśnienia. Lutz był uradowany, że wreszcie może dokładnie objaśnić swój system: podczas podróży zawsze ma ze sobą wszelkie możliwe dokumenty tożsamości i legitymacje, jakie mu kiedykolwiek wystawiono, liczy bowiem na to, że przy takiej ilości dokumentów służby granicz-

ne nabiorą przekonania, że wszystko jest w porządku. Poza dowodem osobistym zabierał swoją legitymację ubezpieczeniową (do której wkleił zdjęcie, tak że wyglądała jak paszport), książeczkę wojskową, gdzie na zdjęciu występował w mundurze, co czyniło go ważną osobą — a nawet legitymację pionierską. I zwykle kiedy już pokazał dowód osobisty, legitymację ubezpieczeniową, nawet książeczkę wojskową, a mimo to nie chcieli go przepuścić, swobodnym, zamaszystym gestem sięgał po legitymację pionierską: Ach, a więc o *to* panom chodziło, jak to dobrze, że nie zapomniałem zabrać!

— I z tym zajechałeś aż do Mongolii? — zapytała pani Kuppisch.

— Nie — powiedział Lutz — do Mongolii trzeba mieć zaproszenie.

Zaproszenie można było sobie napisać samemu, mówił dalej Lutz, ale żeby to zaproszenie własnego wyrobu wyglądało bardziej oficjalnie, za pomocą ołówka i podłożonej pod spód monety mongolskiej skopiował na nim godło państwowe Mongolii w charakterze pieczęci urzędowej. Żądano okazania „urzędowo poświadczonego zaproszenia”, a jak ma być urząd, to pewnie chodzi o pieczętkę, pomyślał Lutz. Monetę, pięć mongolskich tugrików, wyłowił z fontanny Neptuna, do której turyści z całego świata wrzucają drobniaki. Przez dwa miesiące Lutz chodził co tydzień do Neptuna i brodząc po kostki w wodzie szukał rzadkich monet — aż wreszcie kiedyś jakiś Mongoł wrzucił tam pięć tugrików. Następnie Lutz poszedł do urzędu ze swoim własnoręcznie wykonanym zaproszeniem. A tam nikt nie znał się na mongolskich pieczęciach urzędowych, więc dostał swoje papiery. Rok później jego kolega też chciał jechać do Mongolii, a dzięki kontaktom nawiązanym przez Lutza udało się nawet skombinować dla niego autentyczne za-

proszenie z autentyczną pieczęcią autentycznego mongolskiego urzędu.

— To świetnie — powiedziała Sabine. — W takim razie możemy teraz zawsze uderzać do tego Mongoła, kiedy ktoś z nas będzie chciał tam pojechać!

— Niece — odparł Lutz. — Nic z tego.

Okazało się bowiem, że kiedy jego kumpel chciał odebrać swoje papiery w urzędzie, nie dostał pozwolenia na wyjazd, bo pieczęć urzędowa była niewłaściwa. „Na zaproszeniu musi być inna pieczęć”, powiedzieli mu urzędnicy i pokazali właściwą pieczęć. Kumpłowi opadła szczęka: to było zaproszenie Lutza z zeszłego roku.

— A ja już nie mam więcej monet pięciotugrikowych — powiedział Lutz. — Czyli Mongolię możemy sobie odpuścić.

Pani Kuppisch chciała się jeszcze dowiedzieć, w jaki sposób Lutz dostał się do Chin. „Z Chinami było ciężko”, zaczął Lutz. Najpierw przez pół dnia obserwował radziecko-chińskie przejście graniczne. Zwrócił uwagę na żołnierza, który przypuszczalnie był ofermą kompanijną, bo musiał wszystkim czyścić buty — przed barakiem granicznym stało pięćdziesiąt par radzieckich kamasy. Poza tym nie działo się tam, w samym sercu stepów azjatyckich, zupełnie nic, tylko co dwie godziny przejeżdżał jakiś samochód. Lutz odczekał, aż do kontroli paszportów wyznaczono ofermę. Naturalnie jego dokumenty nie były kompletne i oferma po długim, niezdecydowanym kartkowaniu w tę i w tę nie pozwolił Lutzwowi przekroczyć granicy. Wtedy ten urządził taką scenę, że jego sprawą zajęli się przełożeni ofermi — oczywiście zadecydowali inaczej, bo przecież oferma z zasady nie ma racji. I kiedy Lutz opuszczał przejście, udając się do Chin, zobaczył jeszcze, że ofermie kazali czyścić latrynę.

Pani Kuppisch chciała się jeszcze dowiedzieć, co by Lutz zrobił, gdyby chciał przekroczyć przejście graniczne tuż przed ich drzwiami. „Nie ma szans”, powiedział Lutz. „Ab-so-lut-nie żadnych”. Przez ten mur można było naprawdę się załamać albo wpaść w depresję. Zwłaszcza gdy nawet taki, co dotarł aż do Chin i Mongolii, nie chce się za niego brać.

Pani Kuppisch wierzyła jednak, że jest jeszcze jakaś szansa – jej własna szansa. Ponieważ to właśnie pani Kuppisch znalazła paszport Heleny Rumpel, i od tamtej chwili pracowała nad sobą. Chciała wyglądać tak, jak właścicielka paszportu. I jako Helena Rumpel zamierzała przekroczyć granicę. Helena Rumpel była dwadzieścia lat starsza niż pani Kuppisch – ten problem pani Kuppisch rozwiązała za pomocą kosmetyków. Miała na sobie ubrania i buty z Zachodu, a w torebce napoczętą paczkę kukidentów i nie skasowany zachodni bilet. Nauczyła się nawet podpisu Heleny Rumpel jak swojego własnego. Pewnego wieczoru wyszła z domu, żeby o zmroku przejść przez kontrolę graniczną jako Helena Rumpel. A że miała stracha, zaczęła najpierw z bezpiecznej odległości obserwować przejście. Zauważyła jakąś parę, która wracała do Berlina Zachodniego, i kiedy zobaczyła, jak swobodnie i pewnie się zachowują, jak głośno mówią, jak się śmieją i z jaką naturalną oczywistością biorą w posiadanie otoczenie – kiedy pani Kuppisch ujrzała to wszystko, zrozumiała, że aby być człowiekiem Zachodu, trzeba czegoś więcej niż paszport, buty, ciuchy i kukident. Wiedziała też, że nigdy nie będzie taka jak oni. I że rzeczywiście nie ma szans, by udało się jej przekroczyć granicę przebiegającą tuż przed jej drzwiami.

Pani Kuppisch wróciła do domu. Cóż jej innego pozostało? Nie wstydziała się jednak swojego strachu, który

powstrzymał ją przed przejściem ostatnich trzydziestu metrów... I tak już wcześniej zdawała sobie sprawę, że nie należy do twardzieli. A kiedy nie miała powodu się postarzać, stała się znowu taka jak przedtem. W domu od razu usiadła przed lustrem. Pan Kuppisch po powrocie nie wierzył własnym oczom. Pani Kuppisch wyglądała nawet młodziej niż kiedykolwiek wcześniej – tak przynajmniej mówili wszyscy, którzy widzieli ją w pierwszych tygodniach po odmłodzeniu. Nikt nie umiał tego wytłumaczyć. Micha podejrzewał jakiegoś ukrytego kochanka, Sabine nowego fryzjera, a Heinz widział w tym oznaki raka płuc, bo, jak wiadomo, chorzy na raka tryskają optymizmem, gdy zbliża się koniec.

Egzystencjalistka, która nie mogła wyjeżdżać z kraju, bo na Targach Książki w Lipsku została przyłapana na kradzieży książki Simone de Beauvoir, pojechała z Mariem nad Bałtyk. Tam jeden astmatyk z Sandersdorfu pokazał im pewien medykament, który nadawał się do eksperymentów narkotykowych. Mario i Egzystencjalistka nazwali go „astmatyczne ziółka z Halle”. Można je było kupić w aptece. Wystarczyło tylko zmieszać te zioła z colą i wypić duszkiem. Astmatyk z Sandersdorfu opowiadał też o tamtejszych zakładach chemicznych, które barwią na żółto poranną mgłę. Mario i Egzystencjalistka wpadli w zachwyty: jeżeli po narkotyku widzi się żółtą mgłę, to właśnie taki narkotyk chcą brać.

I kiedy wrócili na Leipziger Strasse, zdecydowali się spróbować tych ziółek z Halle. Efekt przekroczył wszelkie oczekiwania. „Jestem w marzeniajce!”, wykrzykiwał Mario w oszołomieniu. Egzystencjalistka z nieobecny uśmiechem na twarzy nuciła dziecinne piosenki, o których mówiła piecinne piocenki. Trwało to dokładnie dwie godziny. Potem zaczęły się cierpienia. Mieli okropnie sucho w ustach. Musieli się koniecznie czegoś napić, ale lodówka była pusta. I akurat wtedy administracja wyłączyła też wodę. Mogli to zresztą zauważyć, bo rezerwar w ubikacji przestał się napełniać. Pragnienie stało się nie do zniesienia. Na domiar złego oślepli — wprawdzie tylko na parę godzin, ale nie mogli przecież

iść tak po zakupy. Jedyne łyk wody w całym mieszkaniu, jaki udało im się znaleźć, to było parę kropel w kolanku pod zlewem. „Ohydne, ale smakuje cudownie”, powiedziała Egzystencjalistka.

Oboje ciągle jeszcze byli ślepi, gdy do drzwi zadzwonił Micha. Znowu chodziło o ten nieszczęsny list miłosny; sprawa ta nie dawała mu spokoju. Chciał przeko-pać się pod murem małą blaszaną łopatką, żeby sięgnąć ręką na drugą stronę. Mario i Egzystencjalistka mieli mu pomóc i stać na czatach. „Jesteśmy niewidomi! Jak możemy stać na czatach?”, powiedział Mario, i kiedy Micha spojrzał im w oczy, przeraził się: było widać tylko źrenice, ich oczy nie miały wcale tęczówek.

– Narkotyk zrobił z was potwory! – wykrzyknął.

Oczywiście Egzystencjalistka musiała się dowiedzieć, o jaki list chodziło, i kiedy Micha opowiadał jej całą historię z Miriam, czuł się jak człowiek w potrzebie, który zwierza się starej, mądrej, niewidomej kobiecie. Egzystencjalistka wymyśliła, żeby zrobić imprezę, kiedy u Maria będzie wolna chata. Micha powinien odczekać, aż puszcza *Je t'aime*, a potem spojrzeć Miriam prosto w oczy. „Reszta jest już tak prosta, że nie musimy o tym mówić”.

Micha oburzył się bardzo na ten pomysł.

– Ona jest przecież kimś absolutnie wyjątkowym, nie da się tak łatwo zaciągnąć do łóżka, a już na pewno nie tak za naciśnięciem guzika, nie tak jak wszystkie! Ona ma w sobie coś... zagadkowego! Jak czytam książkę, to myślę o niej, słucham piosenki i też myślę o niej...

– Słuchaj, Micha, *Je t'aime* zawsze pomaga! – powiedział Mario (a mówił z doświadczenia), zaś Egzystencjalistka skierowała swoje niewidzące oczy w przestrzeń i powiedziała rozpromieniona:

– Tak, widzę to bardzo wyraźnie.

Gdyby Mario i Micha mogli się domyślać się, jaką klapą skończy się pomysł Egzystencjalistki, nigdy w życiu nie urządziliby imprezy. Potem nikt właściwie nie wiedział, kto na tym wyszedł gorzej; niektórzy twierdzili, że to, co zdarzyło się na imprezie, było gorsze dla Maria, inni mówili, że impreza była katastrofą przede wszystkim dla Michy. Ale oczywiście nikt nie przypuszczał, że zakończy się to całkowitą klęską, i impreza rzeczywiście się odbyła, może nawet była to największa impreza, jaka kiedykolwiek miała miejsce przy krótszym końcu Alei Słonecznej. Oprócz Michy, Maria i Egzystencjalistki przyszli nie tylko Okularnik, Gruby i Kudłaty, ale i Sabine, która znowu zmieniła Aktualnego. Tym razem był to student teologii, co wtedy bardzo się liczyło. Przyszły także oba pedzie ze szkoły tańca, a Kudłaty ściągnął wytatuowanego fana Stonesów Frankiego, pechowca Bergmanna, dealera płyt Kanciarza, a nawet Hipisa ze Strausbergu. Egzystencjalistka zaprosiła wszystkich artystów z kręgów awangardowych. Szrapnel także przyszła, zjawił się nawet astmatyk z Sandersdorfu. I wszyscy przyprowadzili swoich kumpli i znajomych. Tego Mario się nie spodziewał. Im więcej gości przychodziło, tym bardziej się bał o zabytkowe instrumenty z czterech stuleci. W całym mieszkaniu wszędzie stało, leżało i wisiało pełno starych instrumentów, które ojciec Maria kolekcjonował od konfirmacji. Strausberski Hipis zdjął ze ściany mandolinę z XVII wieku i stwierdził: „Chłopie, tego grata trzeba koniecznie przestroić na bluesa”, po czym zabrał się za strojenie zabytkowego instrumentu.

Mario nie zauważył tego, bo był akurat w kuchni, gdzie ze swoją egzystencjalną przyjaciółką i pedziami ze szkoły tańca dyskutował, czy możliwe jest założenie autonomicznej republiki w granicach NRD. „Każdy może

kupić dwa tysiące metrów kwadratowych gruntu!” – powiedział jeden z pedziów. Egzystencjalistka stwierdziła, że gdyby znalazło się naprawdę wielu ludzi, którzy najpierw kupiliby ziemię, a potem w tajemnicy połączyli swoje działki i ogłosili secesję... Była zachwycona tym pomysłem. Mario nie wierzył, że to jest możliwe, i zaczęli się kłócić: „Egzystencjalizm to filozofia pod hasłem: Rusz-dupę-i-rób-coś, a nie: To-się-chyba-nie-uda-więc-lepiej-się-wcale-nie-zabierać!”.

Sabine także musiała akurat wystuchiwać wyjaśnień – od Johannesesa, swojego teologa, dostała kieliszek wina, który przyjęła z radosnym „amen”, a on wtedy pouczył ją o sprawach, które już dawno chciał jej wyjaśnić – że *amen* nie znaczy „dziękuję”, a *Alleluja* to nie jest „dzień dobry”. Tuż koło nich bębniiono w skata, w dosłownym tego słowa znaczeniu: Kanciarz, Franki i Gruby z braku stolika postawili między sobą stary kocioł i rznęli w karty na jego membranie. Wyraźnie było słycać ostre zagrania, tylko Mario nic nie słyszał, bo akurat zapalił się do pomysłu kupowania ziemi. „Wszyscy muszą o tym wiedzieć, ale musi to pozostać w tajemnicy!”, zawołał zachwycony, a nikt nie zapytał, jak zamierza to osiągnąć.

Gruby miał bluesowy odjazd, zrymował swoje obserwacje i odśpiewał na melodię *Little Red Rooster*, a Hipis ze Strausbergu akompaniował akordami E, A i G na mandolinie z XVII wieku:

„Już puste flaszki lecą z balkonu,
to się, niestety, skończy źle,
sąsiedzi lecą do telefonu,
przyjadą gliny, ktoś za to beknie”.

Sąsiedzi wprawdzie nie dzwoniли po gliny, ale telefon rymował się z balkonem, a to, że flaszki leciały z balkonu, zgadzało się jak najbardziej.

Micha cały czas krążył w napięciu między pokojami i tylko wszystkich denerwował. Miriam nie przyszła. Czy jeszcze przyjdzie? A może jednak nie? Wszyscy wiedzieli, co przeżywa, i nalewali mu ze słowami: „Napij się, to pomaga!” albo „Napij się, to uspokaja!”, albo „Napij się, to ci będzie lepiej!”, albo też „Napij się, to się wyluzujesz!”. W ten sposób Micha upił się najszybciej ze wszystkich, zresztą po raz pierwszy w życiu. Napięcie powoli mu przechodziło, choć Miriam się nie pojawiła.

Jeden ze znajomych Egzystencjalistki urządził na balkonie happening: wyjął z pudełka tort z kremem, a potem rozpiął rozporek i naszczał na tort. Skrajnie zniesmaczony Kudłaty wrócił do kuchni i przerwał dyskusję o zakupie ziemi. Egzystencjalistka musiała go uspokajać: „Człowieku, to są przecież artyści, to jest *underground*, z tym się trzeba oswoić. W zeszłym roku on powtarzał za mną wszystko, co mówiłam, słowo w słowo, i wiesz, wtedy zaczynasz się naprawdę zastanawiać, co mówisz. I to właśnie jest sztuka!”. I zaraz dyskusja zeszła na sztukę. Franki odstłonił ramię z wytatuowaną syreną: „To jest sztuka, trzy lata żem nad tym siedział, trzy lata i osiem miesięcy!”, oświadczył schrypniętym głosem, a równocześnie z balkonu rozległ się okrzyk obrzydzenia. Teolog wszedł do kuchni błady. Tamten *klient*, jak nazwał undergroundowego artystę, zeżarł na raz cały zaszcpany tort. Nawet Egzystencjalistka wzdrygnęła się z obrzydzeniem i nazwała artystę „wstrętną świnią”, na co Kudłaty wystąpił w jego obronie: „Nie, to jest sztuka! To wstrząs, kiedy ktoś robi coś, czego nikt by nie zrobił! To jest jak prąd! Elektryzująca sztuka!”.

Gadanie, blues, brzęk butelek i bębnienie grających w skata tworzyły żywe tło dźwiękowe imprezy, i dlatego kiedy Miriam wreszcie przyszła, nikt tego nie zauważył.

Usiadła na sofie obok Szrapnela, przy czym, niestety, ucierpiał trochę bułgarski flet pasterski z 1910 roku, który Strausberski Hipis położył obok siebie. „Jak teraz jeszcze urwie się czwarta struna, to z muzyką koniec, chłopie”, powiedział Hipis i spojrzał tęsknie na szafamaję, która też już była zajęta: Kanciarz trzymał ją między kolanami w charakterze popielniczki. Szrapnel od dłuższej chwili przytulała się do Okularnika. Zdjęła mu okulary i powiedziała: „Jak nie masz okularów na nosie, to nawet mi się podobasz”, na co Okularnik odparł: „Jak nie mam okularów, to ty też mi się podobasz”. Miriam, rozbawiona, przyglądała się im bez skrępowania. Nagle stanął koło niej Micha, a jej oczom ukazał się straszny widok.

Micha, który przed chwilą uciekł przed nią w panice do kuchni, zaczął koszulą o klamkę i oberwał sobie rękaw. W kuchni oderwał go do końca i przy okazji z przodu na spodniach poplamiał się burakami. A że pani Kupisch latami pouczała go, że plamy z buraków się nie spierają, spróbował wywabić tę plamę za pomocą gąbki i dużej ilości wody. Mokra plama z przodu nie była już wprawdzie czerwona, ale za to bardzo duża. I akurat w tym momencie w pokoju zabrzmiało *Je t'aime*.

Mario właśnie po raz pierwszy od godziny zjawił się w pokoju i gdy zobaczył, co się dzieje z historycznymi instrumentami, zażądał wyjaśnień od Kudłatego, który akurat chciał zagrać w zespole bluesowym na bandoneonie z XIX wieku. Kudłaty tłumaczył, że zaczęli grać na instrumentach tylko dlatego, że skończyły się baterie w magnetofonie. „No sam zobacz!”, powiedział Kudłaty i nacisnął klawisz „play”. Zabrzmiało właśnie *Je t'aime*. Baterie rzeczywiście się kończyły i magnetofon strasznie rzeźił na zwolnionych obrotach. Każda muzyka na zwolnionych obrotach brzmi strasznie, ale zwolnione

Je t'aime, głównie z powodu tych rozkołysanych, falujących organów, brzmi dwa razy gorzej niż inne zwalniające kawałki. Mario jednak chciał tego wysłuchać, na pociechę, bo przy *Je t'aime* Egzystencjalistka rozebrała i jego, i siebie.

A Micha był akurat w kuchni, więc nie mógł o tym wiedzieć. Dla niego *Je t'aime* było sygnałem. Był tak pijany, że nie miał już żadnych obiekcji, nie zastanawiał się, czy może próbować przy pomocy *Je t'aime* zdobyć coś tak niesłychanie wyjątkowego, jak Miriam. Wtoczył się do pokoju i stanął przed nią chwiejnie. Miriam nie zauważyła nawet jego rozerwanej koszuli, bo wpatrywała się w ogromną, mokrą plamę na spodniach. Muzyka chrypliwie zwalniała, a Micha był pijany. Wszystko było jak w koszmarnym śnie. Micha upadł przed nią na kolana i wybełkotał: „Miriam, wiem, że to nie jest najlepszy moment, bo tu mam akurat takiego pryszczaka, ale obiecać to przecież obiecałem...”. A potem rzeczywiście spróbował ją pocałować. Miriam wyswobodziła się, wstała i wybiegła z mieszkania. Micha za dużo wypił, żeby za nią pójść. Ułożył się w kącie do snu. Jako poduszki użył kobzy z początku XVIII wieku – zawiązał wszystkie ujścia powietrza, a potem ją nadmuchał. Tak zastał go ojciec Maria, który wrócił następnego dnia rano, zanim impreza na dobre się skończyła. Hipis ze Strausberga dalej grał bluesa z mandoliną pod pachą. Już ten widok wystarczył, żeby ojciec Maria od razu zrozumiał, że przez noc stał się kolekcjonerem *połamanych* instrumentów muzycznych z czterech stuleci. A potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Hipis musiał przerwać w środku zwrotki. Micha został obudzony. A Mario wyleciał z domu.

Mario i Egzystencjalistka bardzo przywiązali się do pomysłu zmobilizowania podziemnego ruchu, który będzie wykupywał kawałki ziemi, żeby je potem połączyć w terytorium autonomiczne i oderwać od NRD. Spędzali dni i noce na wymyślaniu projektu konstytucji obszarów zbuntowanych. Na temat niewchodzenia w żadne pakt, zniesienia obowiązkowej służby wojskowej i wolności prasy mieli takie same poglądy, na temat ustroju państwa nie było zgodności zdań: ona była za republiką rad, on za demokracją parlamentarną. W soboty i niedziele często wyjeżdżali motorowerem Maria za miasto i jeździli po kraju, który wydawał im się ogromny. Choć to pewnie brało się stąd, że motorower był tak powolny. Pewnego razu Egzystencjalistka powiedziała: „Musimy spróbować wyliczyć, ile teoretycznie potrzeba członków naszego tajnego ruchu, żebyśmy mogli wykupić całą NRD”. Powierzchnia NRD wynosiła, „pod odliczeniem tych wszystkich strzelnic”, jak się wyraziła Egzystencjalistka, mając na myśli zamknięte tereny wojskowe, nie podlegające sprzedaży, około stu tysięcy kilometrów kwadratowych. Chciała, żeby Mario zajął się liczeniem, ale on był za leniwy.

— Nie po to wylatywałem ze szkoły, żebym teraz jeszcze miał liczyć — powiedział.

— A ja jestem malarką i też nie muszę zajmować się liczeniem — stwierdziła na to Egzystencjalistka, ale skoro

Mario nie wykazywał najmniejszej ochoty, jednak się tym zajęła. Był piękny letni dzień, a oni leżeli sobie leniwie na łące.

– Słuchaj, tysiąc metrów to kilometr, prawda? – zapytała Maria i połaskotała go w nos pięknym okazem mleczka. – W takim razie dwa tysiące metrów to będą dwa kilometry?

Mario wydał tylko potwierdzające mruknięcie. Egzystencjalistka wyliczyła, że jeśli każdy może kupić dwa tysiące metrów kwadratowych, czyli dwa kilometry kwadratowe, to całą NRD – odjąwszy poligony – może wykupić pięćdziesiąt tysięcy ludzi. To było dla niej sensacyjne odkrycie.

– Mario, wykupimy im ziemię spod tyłków, najlepiej by było jeszcze przed najbliższym zjazdem partii, bo wtedy mają taki kołowrót, że jak zauważą, to już będzie za późno!

Pieniądze na zakup ziemi nie były problemem. Ziemia nie była wcale droga. Egzystencjalistka mogła po prostu namalować i sprzedać kilka obrazów więcej, w razie potrzeby mogła też robić modne oryginalne kolczyki. Mario chciał produkować mokasyny i sprzedawać je po dwadzieścia pięć marek za parę. Egzystencjalistka nie chciała w żadnym razie przyjmować oficjalnych zamówień od państwa. Wprawdzie całkiem nieźle by to wyglądało, gdyby państwo finansowało swą własną zgubę, „ale ja im i tak żadnych obrazów malowała nie będę!”.

Jej stwierdzenie, że ci na górze przed zjazdem partii będą mieli kołowrót i nic nie zauważą, było w zasadzie słuszne, ale kołowrót był nie tylko przed zjazdami partii. Ciągle miotaliśmy się od kampanii do kampanii i zawsze coś się działo. Ledwie odetchnęliśmy, bo zjazd partii właśnie się zakończył – a tu już zbliżała się rocznica i razem z nią następna kampania. Kiedy jakoś przeżyliśmy rocz-

nicę, gazety zaczynały pisać, że znowu będą wybory, żeby potwierdzić słuszny kurs polityki państwa. No i znowu kampania. A jak tylko odbyły się wybory, partia dochodziła do wniosku, że wobec tak szeroko deklarowanego zaufania społecznego znowu musi zwołać zjazd.

Ojciec Michy twierdził, że przynajmniej przed wyborami petycje są załatwiane pozytywnie. Gdyż, według jego teorii, każdy nie biorący udziału w wyborach był źródłem troski dla władzy, a rzucona ze złością groźba: „Skoro tak, to nie pójdę na wybory!”, mogła działać cuda. Każdy jako tako normalny człowiek musiał się domyślać, że wyniki są upiększane, ale może ktoś chciał mieć piękne wyniki bez potrzeby upiększania ich? Kiedy głosów na „tak” już nie mogło za bardzo przybyć – bo w końcu kogo interesuje różnica między 99,28 a 99,55 procent – wynaleziono nowe sposoby okazywania zwiększonej lojalności, na przykład *iść na wybory zwartą grupą* albo *głosować przed godziną 12*, lub też *iść na wybory w niebieskiej koszuli FDJ*.

A mimo to przy wyborach zdarzały się kompromitujące wypadki, a największą, ogólnokrajową i nawet sięgającą za granicę kompromitację wywołał brat Michy, który akurat wtedy był w wojsku. Miał on wybitnie gorliwego szefa kompanii, który w dodatku był tak próżny, że do komunikacji radiowej wybrał sobie pseudonim Everest. Gdy kumpel Bernda w wojsku, Thomas, nadawał Everesta, nazywał go zamiennie Müggelberg lub Pik Stalina, tak że w końcu utarło się mówić na szefa kompanii Pik Müggelberg. Pik Müggelberg był mocno urażony, że jego przydomek wziął się od małej górki pod Berlinem, z której dzieci zjeżdżają na sankach, zapalał więc do Thomasa swoistą sympatią. Nie zostawiał mu ani jednej wolnej minuty, Thomas musiał sprzątać, aż mu się śniły wiadra, szmaty i froterki.

W niedzielę wyborczą Pik Müggelberg był oficerem dyżurnym, czyli szefem całych koszar. Podczas porannego apelu komendant dywizji odczytał „rozkaz dzienny”, który brzmiał „Każdy głos na kandydatów Frontu Narodowego!”. Pik Müggelberg stanął na baczność i odpowiedział: „Rozkaz, towarzyszu pułkowniku — *każdy* głos!”. A ponieważ był szczególnie gorliwy, po apelu porannym kazał wszystkim kompaniom ustawić się w szeregu. Potem szedł wzdłuż szeregu i dawał każdemu do ręki kartę do głosowania. Za nim szedł jego adiutant z urną wyborczą. Każdy żołnierz powinien złożyć głos na pół i wrzucić do urny. Wrzucanie głosów zajmowało trochę więcej czasu niż ich rozdawanie, więc Pik Müggelberg zostawił adiutanta z tyłu. I gdy oficer stanął przed Berndem, adiutant właśnie doszedł do Thomasa — a ten nie chciał wrzucić swojego głosu do urny. Wydusił z siebie coś o „kabinach” i „regulaminie wyborczym”. Pik Müggelberg, który właśnie dał Berndowi kartę wyborczą, wrócił do Thomasa i ryknął: „Co jest? Odmowa wykonania rozkazu, nie słyszał rozkazu dziennego czy jak? Baczność! — Kartę złóż! — Kartę wrzuc! — No właśnie, nie można było od razu... Gdzie to ja stanąłem?”.

Zgłosił się Bernd. Pik Müggelberg podszedł z powrotem do niego i dał mu drugi głos, który Bernd cichaczem położył na tym pierwszym, złożył obydwa razem i wrzucił do urny, tak że adiutant niczego nie zauważył. Pik Müggelberg mógł później zameldować, że żołnierze z jego koszar oddali głosy przed godziną dziewiątą, zbiorowo i w mundurach wyjściowych. Tego nie można było przebić. Ale przy publicznym liczeniu głosów, w którym musieli brać udział wszyscy żołnierze, okazało się, że 578 uprawnionych do głosowania oddało 579 ważnych głosów „za”. Pik Müggelberg pomyślał, że adiutant po prostu się pomylił, i rozkazał powtórnie policzyć głosy —

wynik był ten sam. Policzono jeszcze raz, przy czym głosy składano na kupki po dziesięć — dalej było 579. Pik Müggelberg przeliczył nazwiska na liście wyborczej: 578 uprawnionych. Powoli robiło mu się gorąco. Chciał być pierwszym szefem lokalu wyborczego, który przekaże wynik do centrali — najpóźniej o 18:03 chciał zameldować stuprocentowy wynik. Ale nie było to takie proste. Raz po raz i z rosnącą rozpaczą Pik Müggelberg przeliczał głosy. W końcu kazał pewnemu żołnierzowi, który po wojsku zamierzał studiować matematykę, liczyć dalej. Długie godziny nie można było ogłosić oficjalnego wyniku wyborów, bo brakowało wyniku z jednego tylko lokalu z ogólnej liczby dwudziestu dwóch tysięcy lokali wyborczych. I w tym jednym jedynym lokalu było o jeden jedyny głos za dużo. Krótco przed północą do koszar przyjechał sekretarz partii i zaczął się wydzierać: 578 uprawnionych może oddać tylko 578 ważnych głosów, ten 579 się nie liczy. Tak, powiedział Pik Müggelberg, o tym też już myśleliśmy, ale w takim razie 578 uprawnionych oddało 578 ważnych głosów i jeden nieważny. Sekretarz zaczął się na to wydzierać jeszcze głośniej, i żeby wyjaśnić Pikowi Müggelbergowi, co to jest nieważny głos, wziął jeden z leżących na kupce głosów, wyróżniający się spośród innych — był to głos Thomasa, który z czystej przekory złożył karteczkę na pół nie jeden, ale dwa razy. „Nie liczy się, znaczy się: nie ma znaczenia!”.

Pik Müggelberg musiał zameldować, że w jego lokalu wyborczym 578 uprawnionych oddało 578 ważnych głosów „za”. W Centralnej Komisji Wyborczej odcznięto z ulgą. Wreszcie można było ogłosić oficjalne wyniki wyborów. Następnego dnia pojawiły się pogłoski, że opóźniony wynik ostateczny wyborów świadczy o ich sfałszowaniu. Inne głosy twierdziły, że łącza tele-

foniczne w kraju są już w tak złym stanie, że nie da się nawet przetelefonować do Berlina ważnych informacji o wynikach wyborczych. Prasa zachodnia przypuszczała, że to opozycja wewnątrzpartyjna poprzez opóźnianie ogłoszenia wyników próbowała trochę wodzić za nos partyjną górę. A wszystkiemu winien był Pik Müggelberg. Za karę został wyznaczony do wygłoszenia referatu na następnym zjeździe partii, który miał się odbyć półtora roku później, krótko przedtem, zanim Bernd, Thomas i reszta mieli wyjść do cywila. Bernd powiedział: „Nigdy bym nie pomyślał, że nie będę mógł się doczekać zjazdu partii!”.

To było jedno z ostatnich normalnych zdań, jakie wypowiedział, potem coraz trudniej było go zrozumieć – mimo iż niewątpliwie mówił po niemiecku. Krótko przed wyjściem Bernda do cywila pani Kuppisch zapytała go raz przy jedzeniu: „No, Bernd, opowiedz coś, jak to jest w tym wojsku. My sobie tego wcale nie potrafimy wyobrazić”.

Podczas opowiadania Bernd przeżuwał, mlaskał i przetykał jedzenie. Cała rodzina przysłuchiwała się jak urzeczona – ale nie mogli go poznać. Nie rozumieli ani słowa. Najpierw myśleli, że bierze się to stąd, że mówi z pełnymi ustami, im dłużej jednak mówił, tym bardziej jasne stawało się, że w wojsku przyswoił sobie całkiem nowy język. „Kot to zasadniczo zawsze dostaje wpierdol”, zaczął. „Nie masz fajki dla dziadka, to na glebę i już cyferkę tłoczysz. A każdy tylko: Lej na wszystko i się śmieję, wstaniesz jutro, będzie mniej. I chodzisz na obiery albo na rejon, a w nocy naloty i tylko odpalasz wóz po dziesięć razy. Dwa wiadra piachu i na błysk: to normalka. Odwalisz manianę, to pięć. A za lewiznę ancel. Ale lepszy trep, co idzie falowo, od regulaminowego.

Albo taki kapsel albo sierściuch, parę petów na pagonie i już bije mu w dekiel. Na zaprawie pompki i zasuwasz dżampingiem... Dasz ciała, to na glebę i jedziesz. Albo ze szmaty nie schodzisz. I tylko ruchy, ruchy! Albo biegiem, biegusiem! Za to po obcince jest życie. Za starego leżysz na wozie, nic cię nie obchodzi i tylko sobie cyferkę odliczasz. Fala herbaciana to poducha, ale zawsze stary dyga młodego... No bo to koty zapchlone. Jak cie pytają, ile idzie, to ty wtedy: kosmos. A nie, to masz wora z pastą. Ale jak kita czai bazę, to spoko. To ma po lepszańsku. A najbardziej przewalone to ma dopiero drewniak". Kuppischowie zastygli w milczeniu, słuchając Bernda. „Co to wojsko z ciebie zrobiło, Bernd?”, zapytała pani Kuppisch bliska łez. Bernd machnął ręką i wypowiedział tylko jeszcze jedno zdanie: „Przed nami były tysiące, ale po nas będą miliony”.

Bynajmniej. Mario i Egzystencjalistka nie wierzyli, że to wszystko się długo utrzyma. Pełną parą pracowali nad swoim planem „wykupienia im ziemi spod tyłków”. W mieszkaniu Egzystencjalistki wisiała duża mapa, przed którą oboje często zastanawiali się, jak najlepiej zabrać się za realizację planu. Były trzy taktyki: parcia naprzód, okrążania i perforowania. Parcie naprzód oznaczało, że zakupy ziemi mają być zorganizowane w formie przesuwanego się frontu. Wszystko jedno, z której strony się zacznie, na wschodzie, zachodzie, południu czy północy. Trochę trudno byłoby to zorganizować, ale ten system wróżył duże sukcesy, bo wtedy każdy od razu by wiedział, czy mieszka na wolnym obszarze. Okrążanie miało polegać na tym, że wykupywało się ziemię w różnych miejscach, by stopniowo otoczyć dawne terytoria. Ta metoda była jeszcze trudniejsza do zorganizowania niż parcie naprzód, ale mniej rzucały się w oczy.

— Mario, jak zaczniemy na południu i dojdziemy do 51 równoleżnika, a oni zauważą, i już nie sprzedadzą nam nic na północy, to co wtedy zrobimy?

— To Niemcy będą poćwiartowane: będą Niemcy Zachodnie, Niemcy Wschodnie, Berlin Zachodni i my — odpowiedział Mario.

— Dlatego ja jestem za okrążaniem.

— Niece — odparł Mario. — Wtedy będziemy musieli wszystko koordynować! Będziemy musieli dzwonić do naszych ludzi i mówić im, kiedy i co mają kupić, a to nam nigdy nie wyjdzie, jak ludzie nie mają telefonów.

Pozostawało więc tylko perforowanie: zakup ziemi przeprowadza się bez żadnego systemu. Kiedyś i tak całe terytorium znajdzie się w rękach podziemia.

Gdyby ich plan został odkryty, mieliby na karku proces o zdradę stanu. Nawet nie wiedzieli, że w ogóle istnieje taki paragraf. „Zdrada stanu?“, wykrzyknęła Egzystencjalistka. „Nie można tego jakoś inaczej nazwać? Czuję się prawie jak Dreyfus!”.

Oboje wiedzieli, że wszystko by przypadło, gdyby o ich planach dowiedział się jakiś szpicel. Dlatego Mario powtarzał: „Musimy wszystkim powiedzieć, ale to musi pozostać w ścisłej tajemnicy”. Zawsze gdy Mario to mówił, Micha przypominał sobie dewizę maszynisty teatralnego, chłopaka Sabine, który twierdził, że żelazną zasadą wszystkich programów kulturalnych jest: „Im lepiej maskujesz swoją krytykę, tym krytyczniej możesz występować”. Akurat wtedy maszynista ćwiczył zonglowanie i podczas rozmowy kolorowe piłeczki wiorowały w powietrzu.

— Ale w takim razie oznacza to, że im bardziej krytykujesz, tym mniej możesz to okazać! — powiedział Micha.

— No to co? — odparł maszynista, nie odrywając wzroku od piłeczek.

— To co w takim razie, chcesz wszystko krytykować i wcale tego nie pokazywać?

— Właśnie tak! Gdy krytykuję wszystko, nie mogę tego pokazywać — potwierdził maszynista.

— Ale to przecież nie ma sensu! Wtedy nigdy się nie zmieni! — wykrzyknął Micha.

— Całkiem słusznie.

— Tak nie może być — odparł Micha. — Jeśli ma się jakąś zasadniczą krytykę, trzeba ją głośno wypowiedzieć!

— Wtedy cię zamkną i wszyscy będą myśleli, że zwarowałeś, bo wygłosiłeś zasadniczą krytykę. W ten sposób okaże się, że ta twoja zasadnicza krytyka to tylko wymysły wariata, no i tak czy inaczej nic się nie zmieni.

Micha potrzebował trochę czasu, żeby zrozumieć jego logikę. Maszynista, jeszcze zanim nauczył się żonglować piłeczkami, umiał już żonglować myślami. A ponieważ Micha dalej milczał skołowany, maszynista zaczął mu na nowo wyjaśniać, nie pozwalając przy tym piłeczkom upaść.

— Zgadnij, dlaczego nic się nie zmienia? Bo jak *powiesz*, jak jest, to od razu cię wsadzą i wszyscy pomyślą, że jesteś głupi, bo nie masz nawet na tyle rozumu, żeby wiedzieć, czego nie wolno mówić. Jeśli nie chcesz, żeby cię zamknęli, to nie możesz mówić o tym, jak jest. A jak *nie mówisz* o tym, jak jest, nic się nie zmieni, bo każdy uważa, że wszystko jest w porządku. I dlatego tu nigdy nic się nie zmieni.

Micha pomyślał, że w tym rozumowaniu musi być jakiś błąd — był pewien, że tam musi tkwić jakiś błąd — i wyszedł, żeby się nad nim zastanowić, zostawiając maszynistę, który niestrudzenie żonglował.

A potem doszło do aresztowania Maria. Nikt nie wiedział, co się dokładnie zdarzyło, bo Mario po prostu nie wrócił z podróży. Pewnego niedzielnego ranka Mario i Egzystencjalistka wyjechali z miasta, żeby znowu oglądać tereny, gdzie należy wykupywać ziemię. Mario pojechał na południowy zachód, Egzystencjalistka na północny wschód. Gdy każde z nich jeździło osobno, mogli obejrzeć dwa razy więcej ziemi w tym samym czasie. Egzystencjalistka także została aresztowana, ale dopiero potem, jak wróciła do Berlina. Miała „lepiej od razu się przyznać”, dokąd Mario pojechał i w jakim celu. „My i tak już wszystko wiemy, a pani zaraz ulży”. Udawała, że nie ma pojęcia, o co chodzi. Mimo że nie potrafiła ukryć, jak bardzo jest roztrzęsiona, miała jeszcze na tyle mocne nerwy, żeby odegrać zazdrosną narzeczoną, która domyśla się, że Mario ma gdzieś inną dziewczynę. Wszyscy myśleli, że Mario został złapany na próbie ucieczki za granicę, wszyscy oprócz Egzystencjalistki. Była pewna, że powiedziałby jej o tym — mieli do siebie całkowite zaufanie.

Po czterech dniach Mario został wypuszczony i opowiedział, co się stało.

W noc poprzedzającą aresztowanie bardzo późno poszedł spać. Następnego dnia musiał wstać wcześniej, żeby zdążyć na pociąg; motorowerem nie dałoby się tak daleko dojechać. A w pociągu zasnął. Obudził się dopie-

ro, kiedy pociąg zatrzymał się na stacji końcowej. A to już był teren przygraniczny. Najpierw zaczął studiować rozkład jazdy, żeby zobaczyć, kiedy ma pociąg powrotny. Dwaj funkcjonariusze straży kolejowej, patrolujący dworzec, od razu go przyuważyli. Na niezliczonych szkoleniach, doksztalcaniach, seminariach, odprawach i kursach nauczyli się rozpoznawać potencjalnych uciekinierów. Gdy na przykład młody człowiek samotnie wysiada z pociągu w strefie przygranicznej i udaje, że czyta rozkład jazdy, to jest to podręcznikowy przykład uciekiniera. Miał nawet na nogach tenisówki — czyli buty najlepsze do biegania, do ucieczki.

Strażnicy chcieli zobaczyć dowód osobisty Maria. Pokazał im. Potem chcieli zobaczyć jego bilet powrotny. Ale tego Mario jeszcze nie miał. Cha, Cha, pomyśleli, jedzie sobie taki do strefy przygranicznej bez biletu powrotnego — ten to nam ułatwia sprawę.

Mario wyjaśnił, że wcale nie chciał tak daleko jechać — właściwie chciał wysiąść stację wcześniej. Aha, powiedzieli funkcjonariusze, a jaki jest cel jego podróży? Tego Mario nie mógł, oczywiście, powiedzieć, bo przecież cała sprawa by się wydała, i miałby na karku zdradę stanu. „W wojsku był?”, zapytał jeden z nich, na co Mario potrząsnął przecząco głową. Trząśił się ze strachu. Wiedział, że jak dodadzą sobie dwa do dwóch, to im jasno wyjdzie, że chce uciec na Zachód, żeby uniknąć służby wojskowej. Strażnicy przekazali jego nazwisko przez krótkofalówkę.

— Jeśli już raz zostałeś z jakiegoś powodu przyłapany na granicy, lepiej od razu się przyznaj!

Mario przyznał się, że z powodu odgrywania głodowych scenek przed turystami z Zachodu wyleciał ze szkoły. Pierwszy strażnik nie mógł uwierzyć: scenki głodowe przed zachodnimi turystami? I dlatego wyleciał ze

szkoły? Stwierdził, że takiemu głupkowi lepiej od razu oddać dowód, odstawić go pod okienko kasowe, a potem wsadzić do najbliższego powrotnego pociągu. Drugi strażnik dalej był nieufny, ale w końcu się zgodził. Mario odetchnął. Tak się spocił ze strachu, że jego koszula zrobiła się całkiem mokra. Ale kiedy strażnik oddawał mu dowód, zauważył coś, co Mario włożył pod plastikową okładkę dokumentu: dowód wpłaty na wieczorowy kurs języka niderlandzkiego.

Jedną z wielu osobliwości krótszego końca Alei Słonecznej było niezwykle zainteresowanie jej mieszkańców językami obcymi, a zwłaszcza językami krajów, do których i tak nie mogli pojechać. Może w ten sposób realizowali swoje marzenia o podróżach. Albo też była w tym pewna przekora: jeśli już nie możemy tam pojechać, przynajmniej nauczymy się języka. Każdy szanujący się człowiek rozgłaszał, że wychowuje swoje dzieci dwujęzycznie. Wieczorowe kursy angielskiego zawsze miały komplet uczestników, tak samo było z francuskim, hiszpańskim, portugalskim, szwedzkim, włoskim, arabskim, hebrajskim i sanskrytem. Gdy zamknięto granicę z Polską, ludzie zaczęli się też uczyć polskiego, a kiedy zakazano pisma „Sputnik”, nagle bardzo popularny zrobił się rosyjski. Egzystencjalistka chodziła na francuski, Miriam zapisała się kiedyś na hiszpański. Jej młodszy brat chciał się uczyć języka indiańskiego, ale nawet na tym kursie już nie było miejsc.

Nie chodziło tylko o to, żeby nauczyć się języka, lecz także o nawiązanie kontaktów z ludźmi, którzy mieszkali tam, dokąd my nie mogliśmy jechać. Gruby najbardziej lubił korespondencyjnie grać w szachy z Kandyjczykami albo Brazylijczykami. Miriam zawsze była ciekawa, jak całują chłopaki z Zachodu. A Günter, mąż sklepowej z warzywniaka, który kolekcjonował modele

kolejek, pisał listy do miłośników miniaturowych kolejek z całej Europy. Ci przysyłali mu czasopisma kolekcjonerskie. Aż pewnego dnia Güntera aresztowano za działalność szpiegowską. Już samo podejrzenie było kompletnie absurdalne. Günter nie potrafił przeciwstawić się nawet sklepowej z warzywniaka — skąd miałby odwagę zadzierać z całym państwem? Mimo to padło akurat na niego, zawsze musi paść na jakąś sierotę, która najmniej zawiniła. Kiedy wrócił po roku i ośmiu miesiącach, do oddychania potrzebował specjalnego aparatu, który musiał ciągnąć za sobą na wózek.

Pani Kuppisch zobaczyła pewnego razu w warzywniaku, nie będącym już warzywniakiem, mężczyznę, który po przejściu trzech schodków musiał nakładać sobie maskę tlenową, żeby móc oddychać. Ale dopiero gdy sklepowa z warzywniaka, nie będąca już sklepową z warzywniaka, podeszła do drzwi sklepu, żeby mu pomóc, pani Kuppisch go rozpoznała. Wszyscy, którzy wtedy widzieli Güntera, nie dawali mu więcej niż pół roku życia, ale Günter jeszcze żyje i do tej pory ciągnie za sobą swój wózek z tlenem.

Strażnicy, którzy znaleźli pokwitowanie za kurs niderlandzkiego w okładce dowodu Maria, od razu zameldowali o tym przez krótkofalówkę. „Zatrzymany bierze udział w kursie niderlandzkiego. — Niderlandzkiego, tak tu jest napisane. — Tak, niderlandzkiego”.

Kiedy w strefie przygranicznej podczas kontroli na dworcu zostaje nadany taki meldunek, nie ma wątpliwości, co zaraz nastąpi. Krótkofalówka zareagowała; wystarczyło jedno słowo: „Aresztować!”.

Gdy Mario czekał na przesłuchanie, odkrył elementarny błąd rachunkowy w obliczeniach zakupu ziemi: dwa tysiące metrów kwadratowych to nie są dwa kilometry kwadratowe, ale zaledwie dwie tysięczne części kilometra

kwadratowego, dlatego zamiast pięćdziesięciu tysięcy kupujących, trzeba by zmobilizować tysiąc razy więcej ludzi, czyli pięćdziesiąt milionów. Tymczasem w NRD mieszkało siedemnaście milionów ludzi, a po odliczeniu dzieci i towarzyszy zostawało tylko dziesięć milionów. Mario nie miał pomysłu, skąd wziąć brakujące czterdzieści milionów. Ale w takim razie, uspokajał się, jak mogę zostać oskarżony o zdradę stanu? To tak samo, jakby chcieli oskarżyć o usiłowanie zabójstwa człowieka złapanego z nie naładowanym pistoletem, no nie?

Prowadzący przesłuchanie najpierw zaświecił Mariovi lampą w oczy, a potem powiedział, że Mario musi sobie zasłużyć na szklankę wody. „Może się pan spokojnie do wszystkiego przyznać, my już daaawno wszyyystko wiemy! Chcieliśmy po prostu usłyszeć to jeszcze raz od pana”.

Mario przysięgał, że po prostu zasnął w pociągu. Przesłuchujący wyśmiał go, darł się na niego i nie uwierzył w ani jedno jego słowo. Mario pozostał przy swojej wersji. Było mu wstyd powiedzieć całą prawdę i przyznać się do tego kompromitującego błędu w rachunkach. Śledczy mógł sztydzić i wrzeszczeć, ile tylko chciał. A gdy Mario w końcu w trakcie przesłuchania zasnął, jego wersja zaczęła wyglądać prawdopodobnie.

Wypuścili go. Już nigdy więcej nie wyjeżdżał, żeby oglądać tereny do kupienia. Ale Egzystencjalistka opowiadała, że od tego czasu w łóżku zachowywał się tak, jakby chciał spłodzić te brakujące czterdzieści milionów ludzi.

Micha też został raz aresztowany w strefie przygranicznej. Zdarzyło się to tego wieczora, gdy rodzina Kupischów wreszcie dostała telefon. Usadowili się pełni dumy wokół aparatu i czuli się tak, jakby to była gwiazdka i rozdawanie prezentów. I nagle to cudo zadzwoniło!

Pan Kuppisch odważył się podnieść słuchawkę. Ale zaraz musiał ją oddać, bo telefon był do Michy. „Jakaś dziewczyna”, wyjaśnił pan Kuppisch ciekawskiej rodzinie.

To była Miriam. Micha okropnie się zmieszał, ale jego rodzina w ogóle się tym nie przejęła.

— Czy dobrze ją słyszysz? — zapytała pani Kuppisch.

— I zapytaj, jak ona cię słyszy! — zawołał pan Kuppisch.

Wszyscy się przysłuchiwali, więc Micha mówił tylko „Mhm”, „No”, „Jasne” i „Cześć”. Miriam nic z tego nie rozumiała. Trochę więcej obiecywała sobie po pierwszym telefonie do Michy. Gdy spotkali się ostatnio na ulicy, Miriam powiedziała mu, że już nie będzie się spotykać z chłopakiem od AWO, bo poszedł do wojska na trzy lata. I czy Micha będzie świadkiem, że jej przysięga się nie liczy, bo skrzyżowała palce, kiedy przysięgała, że przez trzy lata dochowa wierności chłopakowi w wojsku. Micha odłożył teraz słuchawkę i wybiegł szybko z mieszkania, bez kurtki, bez niczego. Z najbliższej budki zadzwonił do Miriam.

— Przepraszam — powiedział zdyszany — ale wszyscy u mnie podsluchiwali...

Miriam uspokoiła go.

— Nic nie szkodzi, myślałam, że po prostu mógłbyś do mnie wpaść — powiedziała, ale Micha dalej się tłumaczył:

— No i wiesz, dlatego nic nie mogłem powiedzieć...

— Jasne — powiedziała Miriam. — Ale może miałbyś ochotę do mnie zajrzeć?

Micha ciągle nic nie kapował.

— Bo dopiero od dzisiaj mamy telefon i ty byłaś pierwszą osobą, która zadzwoniła, dlatego wszyscy...

— W końcu chcesz do mnie przyjść czy nie? — zapytała Miriam po raz trzeci.

Micha nie wiedział, czy dobrze usłyszał:

— Że co proszę? — zapytał.

— Pytam, czy nie miałbyś ochoty wpaść do mnie na chwilę — powtórzyła Miriam z anielską cierpliwością.

— Zaraz będę! — zawołał Micha, wybiegł z budki i wpadł prosto w ramiona posterunkowego.

— Dokumenty!

Micha przestraszył się, bo przypomniał sobie, że zostawił dowód w kurtce, a kurtka wisiała w mieszkaniu. „Już przynoszę!”, zawołał i chciał uciec, ale posterunkowy go przytrzymał. Micha próbował uwolnić się z uchwytu, zaczął wrywać się i szarpać, ale posterunkowy był po prostu silniejszy. Micha rozkwasił sobie tylko nos.

Posterunkowy wiedział, że ten wieczór był dla Michy wyjątkowo ważny, ale miał z nim rachunki do wyrównania — ciągle jeszcze nie dostał przecież awansu. Nie chodziło oczywiście o to, kim Micha jest i gdzie mieszka, te rzeczy posterunkowy wiedział lepiej niż matka Michy. Z uzasadnieniem brzmiącym: „kto bez dokumentu tożsamości zostanie zatrzymany w strefie przygranicznej, musi zostać doprowadzony na komendę w celu ustalenia personaliów”, Micha został zabrany na komendę. W ciągu nocy posterunkowy sporządził protokół, w którym napisał, że osoba płci męskiej nie posiadająca ważnego dokumentu tożsamości została ujęta około godziny dwudziestej drugiej w strefie przygranicznej, a następnie poprzez próbę ucieczki chciała uniknąć policyjnej kontroli. Posterunkowy chciał pokazać, że potrafi być złośliwy, ale Micha nie zwracał uwagi na takie subtelności. Teraz było mu już wszystko jedno, nie poszedł do Miriam mimo czterokrotnie ponawianego zaproszenia.

Posterunkowy wypuścił Michę następnego dnia rano. Byli kwita: nabruździli sobie wzajemnie w bardzo ważnych dla siebie sprawach.

Ten dzień miał być pierwszym dniem Michy w Czerwonym Klasztorze. A stał się też dniem ostatnim. Micha przyszedł spóźniony i trafił akurat na chwilę, kiedy dyrektorka dawała uczniom próbkę swoich zdolności perswazyjnych. Nowi uczniowie stłoczyli się wokół niej, a ona z ponurą miną patrzyła na ogłoszenie informujące o kursach szachowych w Czerwonym Klasztorze. Wywieszka miała kształt szachowego króla. Dyrektorka kazała przyprowadzić ucznia, który napisał ogłoszenie, i zapytała go surowo:

– Co pan sobie właściwie przy tym myślał?

Uczeń nie miał pojęcia, czym zawinił, i jękał się tylko:

– Ja.. ja tylko... klub szachowy... poinformować...

– Tak, tak – przerwała mu dyrektorka Czerwonego Klasztoru, a wszyscy nowi uczniowie byli świadkami tej sceny. – Nie mamy, oczywiście, nic przeciwko temu, że w tej szkole gra się w szachy, nawet jeśli wynalazca tej gry nie uważał, że zwykły goniec jest tyle samo wart, co król, jeśli nie więcej.

Tu zrobiła efektowną pauzę, żeby każdy uczeń miał czas to przemyśleć – bo przecież goniec ciężko pracuje, podczas gdy król to zwykły próżniak. A potem zachmurzyła się, dźgnęła palcem wskazującym czubek głowy papierowego króla szachowego, gdzie widniała korona zwieńczona krzyżem, i krzyknęła piskliwym głosem:

– Ale tych szkodliwych symboli chrześcijańskich w naszej szkole nie będziemy tolerować!

I akurat gdy z wściekłością celowała palcem w koronę króla, do szkoły wpadł Micha. Był spocony i zdyszany.

– A z panem co się stało?

Micha był tak zdyszany, że w odpowiedzi mógł tylko wysapać:

– Zostałem zaaresztowany... w strefie przygranicznej... bo chciałem uciec... broniłem się...

– PRECZ! – wrzasnęła na niego dyrektorka.

Micha wystarczająco się już naogłądał w nowej szkole. Poszedł z powrotem do domu. Matka od razu zalała się łzami. Robiła wszystko, co było w jej mocy, żeby Micha dostał się do Czerwonego Klasztoru i pojechał na studia do Związku Radzieckiego. Dzięki niej na wszystkie rocznice w ich oknie wisiała flaga państwowa, przyjmowała gości na kwatery, była członkiem komitetu rodzicielskiego, prenumerowała „Neues Deutschland”, a reklamówki od wujka Heinza nosiła zawsze napisami do środka. Nazywała nawet swojego syna Misza. A teraz, już pierwszego dnia, okazało się, że i tak wszystko na nic. Pani Kuppisch już dłużej nie mogła. Płakała cały dzień i całą noc. Następnego ranka pan Kuppisch oświadczył: „Napiszę petycję”. A potem zrobił coś, czego nigdy jeszcze nie robił: rzeczywiście usiadł i napisał petycję.

Po dwóch tygodniach dostał odpowiedź. Wziął za rękę Michę i panią Kuppisch i z bojową determinacją poszli razem do Czerwonego Klasztoru. Micha od razu zauważył, że ogłoszenie o kursach szachowych miało teraz kształt gońca.

Pan Kuppisch wdarł się do gabinetu dyrektorki, nie zważając na podejmowane przez sekretarkę energiczne próby zablokowania mu drogi. Dyrektorka obrzuciła go pytającym spojrzeniem. Pan Kuppisch wyciągnął z kieszeni list i zaczął czytać: „Szanowny panie... po rozpatrzeniu zaistniałych... i tak dalej... O, tu!”. Znalazł miejsce, którego szukał, i zacytował. „...zarządzamy, aby cofnięto kroki podjęte w sprawie relegacji”.

Z triumfalnym „Hm!” pan Kuppisch opuścił list. „Bo my napisaliśmy petycję!”, powiedział dumny z siebie, potem kiwnął na Michę i panią Kuppisch, żeby weszli, niech się dyrektorka dowie, kto to jest to „my”. Ale Micha nie wszedł. Pani Kuppisch powiedziała lekko za-

żenowana: „Micha musiał za potrzebą. On zawsze tak, jak się cieszy”. Kłamała, ale to miało być jej przedostatnie kłamstwo. Jeszcze tylko jeden jedyny raz spróbowała przedstawić Michę w korzystniejszym świetle.

Micha wcale nie poszedł do toalety, bo miał potrzebę, ani też nie cieszył się ani trochę. Poszedł do umywalni, żeby się przed lustrem trochę wystylizować. Gdy po chwili wszedł do gabinetu dyrektorki, żuł gumę, miał rozczochrane włosy, a trzy guziki jego koszuli były zawiadacko rozpięte pod szyją. Wyglądał jak uczeń, który w żadnym wypadku nie będzie tolerowany w Czerwonym Klasztorze. Wprawdzie pani Kuppisch od razu zaczęła doprowadzać jego wygląd do porządku, ale Micha ruchem ręki obronił się przed jej natarczywością. Pani Kuppisch rzuciła zaleźnione spojrzenie na dyrektorkę, żeby zobaczyć, jak straszne wrażenie zrobił na niej Micha, lecz dyrektorka nie powiedziała nic. Patrzyła tylko na Michę, a Micha patrzył na nią. Nikt nie musiał nic mówić. Pani Kuppisch chciała rozładować sytuację i spróbowała skłamać po raz ostatni.

— Misza, jak teraz pójdziesz do internatu, musisz napisać swojemu przyjacielowi ze Związku Radzieckiego, z którym korespondujesz, że zmienił ci się adres.

Oczywiście Micha nie miał żadnego kolegi ze Związku Radzieckiego, z którym by korespondował, i wcale na to nie wyglądał. A ponieważ ciągle mierzyli się z dyrektorką spojrzeniami, pan Kuppisch nerwowo pomachał w powietrzu odpowiedzią na swoją petycję i zwrócił się do Michy:

— Ty też wreszcie się odezwij.

Micha odezwał się na to słowami, które usłyszał kiedyś od wujka Heinza, a potem wyszedł z gabinetu dyrektorki i ze szkoły. To, co powiedział, wystarczyło, żeby już na dobre stracił szansę zostania *kims*. Przynajmniej

od tej chwili nie musiał być nikomu posłuszny. To było bardzo męczące. A i pani Kuppisch nie musiała już wymyślać, jak by tu poprawić swój wizerunek. Bo to w końcu też było męczące. I parę minut później była bardzo zadowolona z decyzji syna. Przyzwoici rodzice nie posyłają swoich dzieci do takich szkół jak Czerwony Klasztor, pomyślała pani Kuppisch. Także pan Kuppisch wkrótce był w wybornym humorze. Wystarczyło tylko, że pomyślał o swojej petycji, a jego pierś przepętniała duma. „Jakbyśmy tylko chcieli, tobyśmy mieli!”, powiedział, wymachując w powietrzu listem. „Aleśmy im dzisiaj pokazali!”.

I tak Micha i jego rodzice wrócili w Aleję Słoneczną z podniesionym czołem — choć Micha mimo długoletnich wysiłków nie poszedł w końcu do Czerwonego Klasztoru. Tyle z tym było zachodu i starań, ale zakończenie całej sprawy było bardzo proste. Micha powiedział po prostu: „Odin, dwa, trzy, my się zruszczyć nie damy!”.

Życie i śmierć w Alei Słonecznej

Miriam od paru tygodni całkowicie ignorowała Michę. Nie wybaczyła mu, że nie przyszedł do niej mimo czterokrotnie powtarzanego zaproszenia. Nie wiedziała nic o tym, że posterunkowy aresztował Michę, więc jego niepojawienie się tamtego wieczoru bardzo ją zraniło. Jeśli nie reaguje na takie zaproszenie, to czego on w ogóle chce? Jeśli nie reaguje na mnie, to o kogo mu chodzi? A ponieważ Micha okazał się takim niewypałem, Miriam znowu zaczęła chodzić z chłopakami z Zachodu. I nie robiła z tego żadnej tajemnicy. Co tydzień przed jej drzwiami stał inny samochód: najpierw porsche, potem mercedes cabrio, po nim jaguar, a raz nawet bugatti. Wszystkie te bajeczne samochody, które brat Miriam kasował w postaci miniaturowych modeli, rzeczywiście podjeżdżały i odjeżdżały spod drzwi jej domu. Micha aż bladł, zastanawiając się, jak ona to robi: co tydzień nowy facet. Młodszy brat Miriam wyjaśnił mu, że w rzeczywistości nie było tak, jak wyglądało. W rzeczywistości było jeszcze gorzej, niż Micha mógł przypuszczać. Za Big Bangera – jeden z rzadkich samochodów, który jeszcze nie przyjechał po Miriam – jej młodszy brat zdradził mu: „Myślisz, że moja siostra ma co tydzień innego faceta. Ale to nieprawda. To zawsze ten sam. Ale co tydzień ma inny samochód”. Nawet sama Miriam nie wiedziała, jak on to robi. „Ten facet musi mieć miliony!”. Jej młodszy brat przypuszczał

nawet: „To jest Elvis”. Ale to nie był Elvis. „No to w takim razie kto? No kto?”, zapytał młodszy brat Miriam. Micha w końcu stwierdził: może to szejek Berlina.

Szejkowi Berlina zdarzył się raz dobry uczynek. Kiedyś tak idiotycznie otworzył drzwi swojego cadillaka, że Kudłaty na składaku nie miał żadnych szans, żeby je ominąć. Wylądował na asfalcie. Gdyby od razu pobiegł z płaczem do posterunkowego, szejek Berlina nieźle by za to beknął. Ale Kudłaty spokojnie załatwił to po swojemu. Potrzebował pięćdziesięciu zachodnich marek na *Exile on Main Street*. Szejek Berlina chciał go spławić byle czym, najpierw chciał mu dać dwadzieścia zachodnich, potem pięćdziesiąt wschodnich marek, ale Kudłaty upierał się przy pięćdziesięciu zachodnich — i w końcu je dostał. Teraz musiał tylko poczekać do wtorku, a wtedy wreszcie mógł odebrać swój album u Kanciarza, który ciągle raz w tygodniu stał pod wiaduktem i handlował płytami.

A ponieważ szejek Berlina okazał się taki skąpy, Kudłaty zaczął wątpić, czy naprawdę jest tym, za kogo wszyscy go uważają. Dla Michy nie miało to znaczenia. Szejek nie szejek — w każdym razie ten facet o wiele za często bywał u Miriam i zawsze miał o wiele za dobry samochód. I nie pasował do schematu. Normalnie faceci z wyjątkowo pięknym samochodem mają zmieniające się dziewczyny. Szejek Berlina tymczasem miał wyjątkowo piękną dziewczynę i zmieniające się samochody. Wobec faceta, który ciągle przyjeżdża i za każdym razem ma nowy samochód, Micha był bezsilny. Jego nerwy były na wykończeniu. Pewnego razu, kiedy jakaś zachodnia wycieczka szkolna na platformie widokowej znowu zaczęła się z niego wyśmiewać, doprowadzony do wściekłości odkrzyknął: „Jak skończę osiemnaście lat, to pójdę do wojska, będę służył na granicy i was wszystkich powystrzelam!”. Nigdy w Alei Słonecznej nie widziano go w stanie takiej wściekłości,

jak w tamtej chwili. Jednak jego wybuch miał też pozytywne skutki: od tego czasu nigdy już nie śmiali się z niego z drugiej strony muru.

Szejk Berlina był w rzeczywistości dozorcą parkingu w hotelu Schweizer Hof. Wiedział, którzy goście zostawiają samochody w garażu na cały czas pobytu w hotelu. I po prostu z tych samochodów korzystał. To był doskonały sposób, żeby robić wrażenie, że się ma forsy jak lodu. Ale pewnego dnia powinęła mu się noga. Nie, żeby wgniółtł karoserię. Nie miał też wcale żadnego groźniejszego wypadku. Było jeszcze gorzej. O wiele gorzej, niż szejk Berlina kiedykolwiek mógł sobie wyobrazić. Kiedyś przyjechał lamborghiniem i przy kontroli celnej pojawił się problem: w bagażniku leżały cztery karabiny maszynowe. Szejk pożyczył sobie samochód, nie wiedząc, że należy on do mafii. Przez te karabiny był oczywiście całymi dniami przesłuchiwany przez Stasi. Potem go wypuścili. Ale karabinów i samochodu mu nie oddali. A na przejściu granicznym czekali już na niego mafiosi. Dokładnie tak, jak się spodziewał: stali tam, trzech Sycylijczyków, i wiercili spojrzeniami dziurki w powietrzu albo od niechcienia czyścili sobie paznokcie. Szejk dopiero co wykaraskał się z kłopotów ze Stasi, ale dopiero teraz czekały na niego *prawdziwe* problemy. Zawrócił do przejścia granicznego i uprzejmie zapytał, czy nie mógłby zostać obywatelem NRD. Ale pogranicznicy odesłali go. Tymczasem Sycylijczycy dalej stali na przeciwległym rogu ulicy. Jeszcze raz szejk Berlina wrócił więc do pograniczników i zaczął ich błagać, żeby pozwolili mu zostać obywatelem NRD. Znowu go odesłali. Za trzecim razem przyczołgał się na kolana, żebrząc o szansę zostania obywatelem NRD. Jeden z pograniczników chwycił za telefon i zadzwonił do ministerstwa. Tam się zlitowano. Szejk Berlina został więc obywatelem NRD oraz pieszym. Ale z Miriam był już ko-

niec. Powiedziała, że skoro on żyje na linii ognia, to odległość między nimi nigdy nie może być za duża.

Z murem najdziwniejsze było to, że ci, którzy koło niego mieszkali, nie traktowali go wcale jako czegoś niezwykłego. Do tego stopnia był częścią ich codziennego życia, że prawie go nie zauważali, i gdyby nagle przejście zostało w tajemniczy sposób otwarte, spostrzegliby to przypuszczalnie jako ostatni.

Ale potem zdarzyło się coś takiego, co wszystkim przy krótszym końcu Alei Słonecznej przypomniało, gdzie mieszkają. Stała się rzecz, co do której wszyscy zawsze mieli nadzieję, że nigdy się nie zdarzy. Po fakcie próbowano zrekonstruować, co się naprawdę zdarzyło i jak do tego mogło dojść.

Micha często musiał oglądać, jak Miriam obściskuje się z szejkiem Berlina. Nieprzytomny z zazdrości, znowu podjął swój idiotyczny plan wydostania z pasa śmierci listu miłosnego od niej. Jego myśli nieustannie krążyły wokół tego listu i cała historia powoli nabierała rozmiarów szaleństwa. Przyszedł mu nawet do głowy pomysł, żeby zgłosić się do wojska na służbę na granicy, by potem z najbliższej wieży strażniczej przeczytać list za pomocą przyrządu własnej roboty, zbudowanego z lornetki i lunety. Gruntownie zaznajomił się z prawami optyki i do tego stopnia orientował się w takich terminach, jak ogniskowa, załamanie czy aberracja sferyczna, że sam bez trudu mógł porobić obliczenia niezbędne do wykonania tego przyrządu.

Czasami po prostu stawał przy murze, dokładnie w tym miejscu, gdzie po drugiej stronie leżał list. Jak pies, który na grobie swojego pana wyje do księżycy. Pewnego wtorkowego wieczoru, a była wtedy rzeczywiście pełnia, spotkał go tam Kudłaty.

— Cześć, Micha — zawołał Kudłaty, który był akurat w świetnym humorze. — Co tu robisz?

Micha nie rozumiał, jak Kudłaty może mieć taki dobry nastrój. Jak w ogóle ktoś na tym świecie może być w dobrym humorze, kiedy listy miłosne od pięknej, najpiękniejszej przepadają bezpowrotnie! Nie przeczytane! Micha zaczął zwierzać się Kudłatemu.

— Tam z drugiej strony leży list, rozumiesz, leży list od niej, a ja nie mogę się do niego dostać!

— Jak to, nie możesz? — przerwał mu zdziwiony Kudłaty.

— No, jak mam to zrobić? — zapytał Micha tonem pełnym zwątpienia. — To przecież pas śmierci, człowieku, zastrzelą cię od razu, jak tylko tam wejdiesz.

Kudłaty spojrział na Michę, jakby nie rozumiał w czym problem, i powiedział:

— Jutro ci powiem jak.

Śpieszył się i chciał iść dalej, ale Micha go przytrzymał. Kudłaty znał chyba odpowiedź na najważniejsze nurtujące go pytanie!

— No to jak to trzeba zrobić? — zapytał Micha.

— Chłopie, ale ty zadajesz pytania! — powiedział Kudłaty i potrząsnął zdziwiony głową. Potem pokazał ręką dom Michy. — Tam jest przecież twoje mieszkanie!

— No i co z tego? Sam przecież wiem! — odparł Micha, który wcale nie kapował, co Kudłaty chce przez to powiedzieć.

— To znaczy, że jak weźmiesz przedłużacz, to możesz tu podłączyć odkurzacza.

— I co z tego, po co mi tutaj *odkurzacza*?

Kudłaty pokazał kupę gruzu, która od lat leżała przed domem Michy. Sterczał z niej kawałek długiego szlaucha.

— Musisz po prostu włożyć jeden koniec tego szlauchu do końcówki odkurzacza, a drugi koniec trzymać nad pasem śmierci.

Micha zaniemówił — pomysł był po prostu genialny. Musiał tylko przesunąć szlauchem nad miejscem, gdzie leżał list. Prędzej czy później przyssie się do otworu szlauchu. Od razu pobiegł do domu po odkurzacza i bębnowy przedłużacz. Kudłaty musiał mu pomóc, choć wcale nie miał ochoty.

Tej nocy wszyscy byli jakoś bardziej ożywieni niż zwykle, może z powodu pełni księżyca. Egzystencjalistka, która z Mariem chodziła po mieście, wygłaszała tyrady, co już dawno jej się nie zdarzało.

— Mówię ci, człowieku, już mam tego wszystkiego tak cholernie dość. Jestem malarką, ale co tu można malować? Tutaj wystarczy ci tylko jeden kolor, szary, tu wszędzie jest tylko jedna gęba, można się naprawdę załamać, ech. Wiesz, dostałam kiedyś farby od koleżanki z Zachodu, tu u nas wszyscy się o nie zabijają, bo są takie kolorowe i nie wiem co jeszcze, aż jarzą. Ale, mówię ci, nie dało się nimi nic malować! Bo po co ci tyle takich wesołych kolorów? Bez sensu, zobaczysz, oni tu niedługo w ogóle zlikwidują kolory, mówię ci. Nawet już czerwony ze sztandarów jest coraz bardziej wyblakły! Zobaczysz, oni naprawdę to robią, poważnie! Nic dziwnego, że wszyscy stąd spieprzają. A kto jeszcze nie spieprzył, ten ciągle kombinuje, jak by tu spieprzyć. A kto nie chce spieprzać, jeszcze się po prostu nie domyślił, że jednak chce. A ostatni zgasi światło.

I w tym momencie, jakby za sprawą jakiegoś cudu, rzeczywiście wszędzie pogasły światła. Mario i Egzystencjalistka znaleźli się nagle w ciemnościach. To mogła być zwyczajna przerwa w dostawie prądu, ale nastąpiła

jak na życzenie, a poza tym w strefie przygranicznej. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło — brak prądu w strefie przygranicznej. Egzystencjalistka tak się przestraszyła, że zaczęła płakać i przytuliła się mocno do Maria.

— Cholera, Mario! Jesteśmy tu naprawdę ostatni. Zapomnieli o nas. Ale ty mnie nie zostawisz samej, prawda? Samej z dzieckiem?

Mario nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

— Dzieckiem? — zapytał.

Kiwnęła głową. W ten sposób Mario dowiedział się, że zostanie ojcem.

Prąd wysiadł dokładnie w chwili, gdy pogranicznik włączył ten niezwykle skomplikowany japoński sprzęt hi-fi do wschodniej sieci elektrycznej. Nastąpiło krótkie spięcie, i w całym osiedlu przy murze oraz na pasie śmierci zgasło światło. Zapanowały egipskie ciemności. Pogranicznik, przeszkolony w teoriach spiskowych, domyślił się błyskawicznie, że ten japoński sprzęt był czymś w rodzaju konia trojańskiego, który został podrzuty celnikom wyłącznie w celu spowodowania awarii sieci elektrycznej. Dlatego od razu ogłosił alarm. „Alarm na granicy”, krzyknął i zaczął strzelać raketami w niebo, na którym wisiał księżyc w pełni, i to chyba jego zasługą było, że tej nocy wszyscy byli nieco bardziej ożywieni niż zwykle.

Gdy pierwsze rakiety oświetliły niebo, państwo Kupisch weszli na dach, żeby wszystko lepiej widzieć. Stanąłi objęci i co chwila wydawali z siebie „ochy” lub „achy”. Takich fajerwerków jeszcze nigdy nie widzieli, nawet na sylwestra, nie mówiąc o rocznicy powstania NRD czy festiwalach młodzieży.

Oczywiście u Kudłatego i Michy też nie było prądu. Odkurzacz przestał działać, zanim jeszcze udało im się za pomocą całej aparatury złowić list. Kiedy usiłowali

wciągnąć szlauch na swoją stronę, zostali zauważeni przez pograniczników. Płonąca magnezja dawała oślepiająco jasne światło, na tle muru wyraźnie odcinały się ich zwielokrotnione cienie. A że jedne świetliste kule wznosiły się do góry, a inne opadały, cienie Michy, Kudłatego i ich zagadkowej konstrukcji także poruszały się i wyginały. Przez swój pośpiech sprawiali wrażenie terrorystów: cienie to nakładały się na siebie, to rozbiegały w różne strony, rozdymały do ogromnych rozmiarów albo nagle znikwały. Żaden pogranicznik nie domyśliłby się, że usiłowali tylko, za pomocą odkurzacza i długiego szlauchu, wyciągnąć z pasa śmierci list miłosny. Przy tej niesamowitej grze światel i cieni, jaką tworzyły pociski świetlne, nie było szans, żeby nie wyglądać podejrzanie. A do tego jeszcze ta pełnia.

I kiedy padł strzał, wszyscy mieszkańcy Alei Słonecznej domyślili się, że tym razem to nie była raca, a gdy Kudłaty padł bezwładnie na asfalt, wiedzieli, że strzał był celny. Micha od razu znalazł się przy nim, byli tam też Mario i Egzystencjalistka. Państwo Kuppisch zeszli szybko z dachu, żeby zobaczyć, co się stało. Pojawił się też posterunkowy, zresztą był to jego obowiązek. Nadbiegła także Miriam ze swoim młodszym bratem. Kudłaty leżał na ulicy i się nie ruszał, a wszyscy płakali. Tam, gdzie miał serce, w dżinsowej kurtce było widać dziurę po kuli. Wszyscy mieli zawsze nadzieję, że nigdy nie będą musieli przeżywać czegoś takiego. Ale stało się. Kudłaty się poruszył. Egzystencjalistka pochyliła się nad nim, żeby przynajmniej ułożyć go wygodniej do umierania, ale nagle Kudłaty ożył. Rozpiął kurtkę i jeszcze oszołomiony, wyciągnął *Exile on Main Street*. Album był potrząskany na kawałki, ale uratował mu życie.

Kudłaty rozryczał się. „Oryginalne brytyjskie tłoczenie!”, szlochał, wyciągając odłamki z postrzępionej ko-

perty. „Była całkiem nowa! Jeszcze zafoliowana! A teraz obie są zniszczone! To był przecież podwójny album!”. I dalej zalewał się łzami.

— Kudłaty, gdyby to była tylko jedna płyta, to... — zaczęła Egzystencjalistka i nie miała odwagi dopowiedzieć tej myśli do końca.

— Tak, jedna by nie wystarczyła, Kudłaty — powiedział pan Kuppisch.

— Wiem — zaprotestował Kudłaty, wstrząsany szloch. — *Ale jednak szkoda!*

I wtedy Micha zobaczył, jak list miłosny z pasa śmierci przelatuje nad murem. Płonął jasnym ogniem. Spadająca raca musiała go podpalić, został uniesiony do góry przez gorący podmuch i przeleciał z powrotem na krótszy koniec Alei Słonecznej, gdzie opadł na ziemię jako kupka popiołu. Micha przyglądał się płonącemu listowi, a gdy ten już zgasł, spojrzął na Miriam. A wtedy Miriam nagle zrozumiała, co się stało. Oczywiście nie domyślała się wszystkich szczegółów, ale pojęła, że ten strzał miał coś wspólnego z jej osobą.

Parę dni później Micha i Miriam spotkali się przypadkiem na ulicy. Był to jeden z ostatnich ciepłych dni w roku. Miriam miała na sobie jeszcze letnią sukienkę, a pod nią zupełnie nic. Micha wyjmował właśnie z papierka loda na patyku. I gdy Miriam zaczęła mu się zwierzać, Micha nie odważył się lizać tego loda — myślał przypuszczalnie, że to nie byłoby *cool*, mimo iż wtedy tego słowa jeszcze wcale nie było. Więc lód skapywał mu powoli na dłoń i sływał aż do łokcia.

Oboje zgrzeszyli: Miriam nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo Micha przez nią cierpiał, jak mocno go zraniła, a Micha trochę za daleko posunął się w swoim szaleństwie na tle listu miłosnego. Gdyby nie to niesłychane szczęście Kudłatego, Micha nie chciałby już więcej

żyć. A na pewno na jego życiu położyłby się na zawsze ponury cień. Gdyby... wtedy... toby...

Miriam skierowała rozmowę na temat swojego przy-
musu całowania się. Było jej bardzo przykro, że Micha
cierpiał, gdy ona ścisnęła się z chłopakami z Zachodu.
Próbowała mu wyjaśnić, jak to „oni” wszystkiego za-
kazują, że „oni” chcą o wszystkim decydować. Mówiąc
„oni”, nie miała tu na myśli chłopaków z Zachodu, tyl-
ko wszystkich, poczynając od Erdmute Löffeling, w górę.
Wszystkich, którzy rządzą. „Oni chcą nam wszystkiego
zabronić, pozbawić nas wszystkiego”, powiedziała
Miriam. I jakoś przecież musi się temu przeciwstawiać,
musi mieć poczucie, że wszystkiego jednak nie mogą jej
zabronić. I kiedy spotyka się z chłopakami z Zachodu,
czuje wtedy, że „oni” mimo wszystko nie mają tak do
końca nad nią władzy...

Podczas gdy Miriam szukała właściwych słów, Micha
zobaczył, że lód topniejący w jego ręce zaraz spadnie na
chodnik. Przerwał więc Miriam, żeby skrócić całą spr-
awę. Zapytał, czy nie poszłaby z nim do kina, właśnie gra-
ją *W osiemdziesiąt dni dookoła świata*. Miriam chciała jesz-
cze mówić o swoich tęsknotach, o koszmarnym lęku
przed ciasnotą i pragnieniu dalekich wyjazdów, ale na-
gle poczuła się jakby uwolniona. „Nareszcie ktoś mnie
rozumie!”. Micha nic nie rozumiał, a gdy Miriam ura-
dowana pożegnała się z nim i poszła, pomachał jej ręką
– resztką lodów na patyku wylądowała na jego koszuli.

W kinie widzieli podróż Fileasa Fogga i jego służące-
go Obieżyświata, widzieli Maurów i taniec brzucha,
dżungle i pustynie, parowce, balony, krokodyle, bawoły
i słonie niosące lektyki. Micha znowu był tak onieśmie-
lony, że nie miał odwagi otoczyć Miriam ramieniem,
mimo iż film był dłuższy niż zwykle, a Miriam sama
przytulała się do niego. Gdy wyszli z kina, Aleją Karola

Marksa przejeżdżały akurat czołgi. Wprawdzie były to tylko ćwiczenia przed paradą wojskową z okazji siódmego października, ale obojgu od razu przypomniało się, gdzie mieszkają. Czołgi śmierdziały i czyniły okropny łoskot, i nie można było sobie wyobrazić większego kontrastu dla tego lekkiego, kolorowego filmu, który właśnie oglądali. Miriam rzuciła się z płaczem w ramiona Michy, on objął ją, przytulił i próbował pocieszać. Ale pocieszenie już nic nie pomagało. Film trochę ją rozmiękczył, a potem nagle te czołgi w środku nocy – Miriam nie była stworzona do tak brutalnych konfrontacji.

W drodze powrotnej uporczywie milczała, czasami najwyżej potrząsnęła głową. W domu, nie mówiąc ani słowa, położyła się do łóżka. Następnego dnia rano nie wstała. Leżała, wpatrując się w sufit. Nie reagowała na nikogo i na nic. Także przez następne dni nie wstawała z łóżka. Pozwalała wlewać sobie do ust trochę herbaty albo zupy. Jej rodzina, oczywiście, bardzo się martwiła. Nie mieli pojęcia, co się z nią dzieje. Bali się zawiadomić Michę, bo wiedzieli, jaki jest wrażliwy i jak od razu o wszystko obwinia siebie. Dopiero posterunkowy spotkał go kiedyś i poradził, żeby poszedł do Miriam. „Twoja mała nie czuje się za dobrze”.

Gdy Micha siedział później przy łóżku Miriam, zrobiło mu się nieswojo. Słyszał historie o ludziach, których ten kraj wykończył, i miał teraz tylko jedno życzenie: chciał uratować Miriam. Zawsze chciał ją uratować. Czasami wyobrażał sobie, że wybucha pożar albo jakaś wojna, z której on mógłby ją wyratować – ale teraz poczuł, że tym razem naprawdę ktoś musi przyjść i ją ocalić. I bardzo chciał być tym kimś. Pochylił się nad nią i powiedział:

– Wiesz, ja też często czuję się tak samo jak ty, a wtedy zapisuję te myśli w moim pamiętniku. Nie jesteś wcale sama, naprawdę. Nie jesteś sama.

Miriam nie zareagowała. Później też nie, kiedy Micha obiecał jej:

– Mogę ci je jutro pokazać, moje pamiętniki.

Potem pożegnał się i pobiegł do siebie, wpadł do mieszkania, na drzwiach swojego pokoju powiesił kartkę *Wstęp wzbroniony* i od razu zabrał się do pracy. Bo problem polegał na tym, że Micha nigdy nie prowadził pamiętnika. A teraz musiał.

Najtrudniejszy był pierwszy tom, ponieważ musiał pisać lewą ręką, żeby pismo wyglądało jeszcze niezdarne. Pamiętniki tym mocniej podziały na Miriam, im dłużej będą prowadzone, kalkulował Micha. Całą noc siedział nad zeszytami i zastanawiał się, co to znaczy mieszkać przy krótszym końcu Alei Słonecznej, gdzie sprawy wyglądają tak, jak wyglądają. Napisał, że zawsze ją kochał, bo czuł, że jest kimś wyjątkowym, że jest w niej coś, co wykracza poza nią samą, i że zawsze dawała mu nadzieję, że życzy jej, żeby wszystko, wszystko, absolutnie wszystko się jej udawało. Wiedział, że będzie musiał odczytać jej te wyznania, ale nie przejmował się tym. Żeby ją tylko ożywić, żeby ją uratować, chwyciłby się każdego środka. Każdego.

Następnego ranka pani Kuppisch znalazła Michę śpiącego nad ostatnim tomem pamiętnika. Jego głowa spoczywała na otwartym zeszycie, ręce miał poplamione atramentem, a na stole leżało siedem pustych nabojów do wiecznego pióra. Tak, tak, siedem. Dżyngis-chan spłodził jednej nocy siedmioro dzieci, a Micha jednej nocy wypisał siedem nabojów.

Gdy Micha ze swoimi pamiętnikami przyszedł do Miriam, dziewczyna leżała w łóżku, tak samo jak przez kilka ostatnich dni, ze wzrokiem wbitym tępą w sufit. Micha postanowił zacząć od pierwszego tomu. Pokazał jej zeszyt:

– Popatrz tylko – powiedział – wtedy stawiałem raczej kulfony niż litery.

Żadnej reakcji.

– Więc dobrze – zaczął Micha i odchrząknął. – A więc zaczynam czytać: Kochany pamiętniku! Dzisiaj był ważny dzień, bo dzisiaj braliśmy w szkole „ó” kreskowane. Teraz wreszcie opłaca się pisać pamiętnik, bo już umiem napisać bardzo ważne słowo, które na razie mogłem tylko pomyśleć: GÓWNO!

Miriam uśmiechnęła się. Micha, który nie chciał, żeby już na samym początku mu przerywano, zaczął tłumaczyć:

– Chwileczkę, chwileczkę, będzie jeszcze więcej...

Ale zaraz zamilkł, bo zrozumiał, że Miriam wydobywa się z apatii. Znowu odbierała bodźce, słuchała, uśmiechała się! Micha był przeszczęśliwy:

– Czy ty... Czy ja ciebie...

Miriam uśmiechała się i promieniała, w końcu zarzuciła mu ramiona na szyję, przyciągnęła go do siebie i wreszcie spełniła swoją obietnicę: pokazała mu, jak się całują na Zachodzie.

Jej młodszy brat stał w drzwiach i przyglądał się. No wreszcie, najwyższy czas, pomyślał.

Potem poszedł na plac, przyjął model Stretcha Fetcha i opowiedział wszystkim, a byli tam Mario, Egzystencjalistka, Kudłaty, Gruby, Okularnik i Szrapnel, jak Micha uratował Miriam. „Ludzie, to jest dopiero miłość!”, powiedział młodszy brat Miriam, a wszyscy pokiwali głowami w nabożnym skupieniu i milczeli. Ciężkie chmury przepłynął nad nimi i zadrżeli lekko od chłodu.

Kiedy tego popołudnia przepełniony radością Micha wrócił do domu, drzwi otworzyła mu zapłakana pani

Kuppisch. „Heinz... nie żyje!”, powiedziała, pokazując w stronę pokoju. Heinz siedział martwy w fotelu.

— Rak płuc! — powiedziała przez łyżę Sabine. — Lekarz powiedział, że to rak płuc.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Pan Kuppisch otworzył. Przed drzwiami stał sąsiad ze Stasi i składał rodzinie Kuppischów wyrazy współczucia. Miał nawet na sobie czarny garnitur.

— Jeśli chodzi o moją działalność zawodową, starałem się zawsze zachowywać dyskrecję — odezwał się cokolwiek zagadkowo. — Ale skoro już tak długo jesteśmy sąsiadami...

Kiwnął i na ten znak dwóch mężczyzn zaczęło wnosić z klatki schodowej do mieszkania trumnę. W ten sposób Kuppischowie dowiedzieli się, że ich sąsiad jest przedsiębiorcą pogrzebowym. Pan Kuppisch był tak zaskoczony, że zrobił się całkiem błądy. Sąsiad nalał mu kieliszek wódki.

— No, panie Kuppisch, to całkiem normalne, że krążenie odmawia panu posłuszeństwa. Dla nas to chleb powszedni.

Pan Kuppisch wychylił wódkę i kiedy już rzeczywiście poczuł się trochę lepiej, powiedział sąsiadowi prostodusznie, co mu akurat przyszło na myśl:

— Lepiej mieć za sąsiada przedsiębiorcę pogrzebowego niż tajniaka ze Stasi. Wtedy przynajmniej wiemy, na czym stoimy.

Sąsiad nie pojął absolutnie, co skłoniło pana Kuppischa do takiego porównania, ale skinął ze zrozumieniem. A potem zabrał się do pracy.

Kiedy otwarto trumnę, serce Michy ścisnęło się z żalu. Pani Kuppisch miała tyle łez w oczach, że nie była w stanie poznać swojego zmarłego brata. Bernd zapytał Sabine o jej chłopaka, który był kiedyś ministran-

tem, na okoliczność ostatniego namaszczenia, nieba i tak dalej, ale Sabine wyszłochała w odpowiedzi: „Tamten był nudny... wszystko przez te śluby czystości. Tato, czy słyszałeś kiedyś o czymś takim?”. A gdy Heinza składano do trumny, zdarzyło się coś, co sprawiło, że oczy Michy wypełniły się łzami: z nogawki spodni Heinza wysunęło się pudełko cukierków Smarties.

Heinz mógł zostać największym przemytnikiem, pomyślał Micha, ale powinien przynajmniej raz przywieźć coś zakazanego, bombę, *Moscow, Moscow* albo pisma pornograficzne... „Ale nie za każdym razem coś takiego!”, zaszłochał Micha, podnosząc smartiesy.

Na pogrzeb Heinza wypuszczono panią Kuppisch na Zachód. To był pierwszy przypadek, że ktoś z mieszkańców końcałki Alei Słonecznej mógł przejść na drugą stronę. Może pozwolili jej dlatego, że wzięli w zastaw całą jej rodzinę. A może dlatego, że zawsze wywieszała flagę państwową, prenumerowała „ND” i przyjmowała gości na kwaterę... Pani Kuppisch wolno było zostać na Zachodzie tylko jedną noc. Po powrocie postawiła na stole puszkę kawy.

— Przemyciłam!

— No nie, znowu się zaczyna! — westchnął Micha. — Mamo, kawa jest całkowicie legalna, nie musiałaś jej przemycać, mogłaś raczej...

Pan Kuppisch otworzył z ciekawością puszkę, postawił sobie pod nos i powąchał z lubością.

— To nie jest kawa!

Bernd sięgnął do puszek. Czarny proszek oblepił mu czubki palców. — To wygląda raczej jak... — Bezradnie rozcierał proszek między palcami. Na pewno nie były to narkotyki.

Sabine domyśliła się pierwsza: — Mamo, to jest wujek Heinz, prawda?

Pani Kuppisch skinęła z dumą.

Micha, Sabine, Bernd, pan i pani Kuppisch w milczeniu prawie minutę przyglądali się zawartości puszek. „Pokój jego prochom”, odezwał się w końcu pan Kuppisch i zamknął puszkę. Nikt z zebranych nie spodziewał się, że przyjdzie im przeżyć jeszcze jedną aferę przemytniczą z wujkiem Heinzem. Ale to naprawdę przebiło wszystko: Heinz we własnej osobie został przeschmugłowany przez granicę. Bardziej godnego końca nie można było wymyślić.

Wieczorem Heinz został pochowany pod kasztanem na cmentarzu przy Baumschulenweg. Formułka „pogrzeb był cichy” nigdy chyba bardziej nie odpowiadała prawdzie, mimo iż z krótszego końca Alei Słonecznej przyszli wszyscy, nawet posterunkowy i pogranicznik. Mowa pogrzebowa była bardzo krótka.

— Heinz — powiedział uroczyście pan Kuppisch — byłeś dla nas nie tylko szwagrem, bratem i wujkiem. Byłeś naszą rodziną z Zachodu!

Zasypali grób ziemią i poszli do domu. Po drodze wszyscy rozmawiali w grupkach. Tylko Micha się nie odzywał. Zastanawiał się, co ma zrobić z pamiątkami. Przeczytał Miriam tylko sam początek swoich zapisków, ale najlepsze miało dopiero nadejść. A może zostanie pisarzem? — przyszło mu na myśl. Nieee, pomyślał zaraz, bo jak mógłbym to wszystko opisać, żeby moi czytelnicy nie pukali się w czoła? Jak słyszę, z jaką powagą oni o wszystkim rozprawiają: Egzystencjalistka opowiadała Mariowi o nowej książce na temat wychowania dzieci, która ukazała się na Zachodzie, chciała swoje dziecko, kiedy się urodzi, wychować jak Indianie Yequana. Posterunkowy oświadczył, że przed następną rocznicą na pewno dostanie awans. Kudłaty opowiadał, że w Centrum w zeszły piątek były licencyjne wydania płyt. Pan Kup-

pisch po raz piąty powtarzał, jakie to szczęście, że poszli do wyborów, bo inaczej na pewno nie puściliby pani Kuppisch na Zachód. I opowiadał, jakby to miało jakieś znaczenie, że Alscherowie z trzeciego piętra prowadzą dziennik domowy – oni są na pewno w Stasi...

Jej, ależ wtedy nawijaliśmy, pisał później Micha. I to wszystko pewnie dalej by się tak toczyło. Tak naprawdę chcieli się na to wszystko rzygać, od początku do końca, ale my przecież świetnie się bawiliśmy. Byliśmy tacy mądrzy, czytani, otwarci, ale w sumie to było idiotyczne. Pchaliśmy się prosto w przyszłość, ale byliśmy tak niesłychanie wczorajsi. Mój Boże, byliśmy naprawdę śmieszni, ale nawet tego nie zauważaliśmy.

I wszystko pewnie dalej by się tak toczyło, gdyby nie zaszły pewne wydarzenia.

Mario i Egzystencjalistka kupili starego trabanta, ale Mario nie mógł prowadzić, dopóki nie skończył osiemnastu lat, a nawet wtedy musiałby zrobić prawo jazdy, co też nie byłoby takie proste, bo znowu miał długie włosy. Wymyślił sobie, że będzie zarabiał na czarno jako taksówkarz. Taksówek prawie wcale nie było, a już na pewno nie jak były potrzebne, więc gdy ktoś miał samochód i potrzebował pieniędzy, po prostu woził na czarno pasażerów. A Mario potrzebował pieniędzy, bo Egzystencjalistka była już w ósmym miesiącu.

Od rana do wieczora Mario majstrował przy samochodzie. Nic w tym trabancie nie działało, dosłownie wszystko trzeba było wymienić. Odkąd mieli samochód, Egzystencjalistka oglądała jedynie stopy Maria.

– Jak to możliwe, że taki prosty samochód tak często się psuje! – wykrzyknęła pewnego razu.

I gdy Mario próbował ją uspokoić: „To nic takiego, to tylko podkładka zahacza czasami o nakrętkę...”, zaczęły się bóle porodowe.

— O Boże, Mario, zaczyna się! — krzyknęła Egzystencjalistka. Mario wypełził spod samochodu. — Leć do telefonu! Zadzwoń po taksówkę!

— Tu przecież nie ma telefonu! Nie ma taksówek! Ja cię zawiozę!

— Czym? — zapytała zrozpaczona Egzystencjalistka, ale w tym samym momencie domyśliła się, co miał na myśli. — Mario, mamy tego grata już sześć tygodni, a on nie przejechał jeszcze ani metra.

— No to już najwyższy czas! — odkrzyknął Mario, przekręcił kluczyk w stacyjce i rzeczywiście: silnik zapalił! „To przecież niemożliwe!”, zamruczał Mario sam do siebie. Posadził Egzystencjalistkę na przednim siedzeniu, zamknął drzwi i na pełnym gazie wyjechał z podwórka, na którym jeszcze przed chwilą naprawiał samochód. Z nieba spływały strumienie deszczu, po prostu lało jak z cebra. Gdy samochód wypadł na ulicę, stuknął o krawężnik i stracił rurę wydechową wraz z tłumikiem. Warkotał niemilosiernie, można było ogłuchnąć. Dziecko będzie upośledzone na całe życie, pomyślała z obawą Egzystencjalistka. Urodzić się w trabancie jest prawie tak samo strasznie, jak przyjść na świat podczas nalotu. Ale Mario nie przejmował się tym.

— Nawet wycieraczki działają! — pełen entuzjazmu, starał się przekrzyczeć hałas.

Takie drobiazgi w ogóle nie obchodziły Egzystencjalistki, chciała się uwolnić od tego piekielnego warkotu, zanim dziecko się urodzi.

Nagle jazda się skończyła. Na środku ulicy stał policjant z drogówki.

— Niech pan nas przepuści — krzyknął Mario. — Rodzi się nam dziecko!

— Proszę wyłączyć silnik — powiedział na to policjant. — Najpierw musi przejechać radziecka delegacja państwowa.

— Nie — odkrzyknął Mario. — Nasze dziecko rodzi się teraz!

Wrzucił bieg i wystrzelił do przodu. Potem opowiadał chłopakom z placu: — Jak twoja dziewczyna rodzi, nie istnieją dla ciebie żadne delegacje państwowe.

Gdy wyjechał na główną ulicę, właśnie przejeżdżała nią delegacja. Sznur trzynastu limuzyn rządowych pomknął z dużą szybkością w stronę centrum. Ale Mario był szybszy. Wkrótce dogonił ostatni samochód, a potem zaczął po kolei wyprzedzać rządowe gabloty. Egzystencjalistka leżała zrana potem na siedzeniu obok niego i przypuszczalnie była już w środkowej fazie porodu. I gdy Mario wyprzedził już prawie całą kolumnę, oderwały się od niej dwa samochody i wzięły jego trabanta w kleszcze w taki sposób, że musiał się zatrzymać. Mario zgasił silnik. Próbował od razu znowu go zapalić, ale nie udało się. Wysiadł i stanął w strumieniach ulewnego deszczu. Egzystencjalistka dyszała i pojękiwała. Mario poczuł się tak bezradny, jak jeszcze nigdy w życiu, i w rozpacz nic innego nie przyszło mu do głowy, jak tylko czynić prośące, błagalne gesty w kierunku przyciemnianych szyb limuzyn. I rzeczywiście, drzwi jednego z samochodów otworzyły się i wysiadł z niego Rosjanin. Na czole miał duże, wyraźne znamię, które na pierwszy rzut oka nadawało mu groźny wygląd.

— Proszę! — powiedział Mario odważnie. — Rodzi się nam dziecko!

Rosjanin uczynił tylko gest ręką w kierunku nieba — natychmiast przestało padać. Potem pochylił się do samochodu, w którym leżała w bólach Egzystencjalistka. Jęczała i krzyczała na przemian. Rosjanin robił coś przez chwilę we wnętrzu samochodu, i zaraz wyłonił się z powrotem, trzymając zawiniętego w pieluszkę noworodka, którego oddał Mariowi. I gdy już miał obie ręce

wolne, położył je na masce trabanta. Silnik od razu zapalił.

— To Rosjanin, który czyni cuda! — zawołała Egzystencjalistka. — Zapytaj go, jak się nazywa!

— Kak tiebja zawut? — zapytał Mario bardzo podniecony, ale Rosjanin od cudów, śmiejąc się, wsiadł już do samochodu i odjechał.

Mario i Elisabeth zostali ze swoim dzieckiem na ulicy i patrzyli na odjeżdżające limuzyny. A im bardziej kawalkada się oddalała, tym bardziej oczywiste stawało się dla nich, że właśnie przed chwilą zdarzyło się coś takiego, w co nikt nigdy nie uwierzy. Nawet ich dziecko, kiedy podrośnie, będzie starsze, nauczy się zadawać pytania i słuchać... Ale ze spraw dziejących się w tym kraju będzie przypuszczalnie rozumiało tak samo niewiele, jak jego rodzice.

Kto naprawdę chce ocalić to, co się wydarzyło, nie powinien oddawać się wspomnieniom. Wspominanie piękniejsza przeszłość, zamiast ją tylko przywoływać; jest przeciwieństwem tego, za co się podaje. Gdyż wspomnienia potrafią zdziałać o wiele wiele więcej. Nieustannie dokonują cudu — umożliwiają zawarcie pokoju z przeszłością, w której każda uraza okazuje się przemijająca, spowijają miękką zasłoną nostalgii wszystko, co kiedyś odczuwaliśmy jako ostre i raniące. Ludzie szczęśliwi mają słabą pamięć i bogate wspomnienia.

Spis treści

- Zimne cygaro Churchilla / 7*
- Skazani / 10*
- Gdziewszycymówianaraz / 28*
- Trzech ze szkoły tańca / 38*
- Pięćdziesiąt zachodnich za mało / 44*
- Masło czy szmalec, oto jest pytanie / 51*
- Non, je ne regrette rien / 63*
- Avanti Popolo / 72*
- Serce kawałek większe / 78*
- Oferma w azjatyckim stepie / 81*
- Je t'aime / 87*
- Podkopać system: tylko jak? / 94*
- Jak nie poćwiartowano Niemiec / 103*
- Życie i śmierć w Alei Słonecznej / 114*